

COPYRIGHT © POLITYKA Spółdzielnia Pracy. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

TEMATY TYGODNIA

- 10 Adam Szostkiewicz **Czy Kościół i Cerkiew pojedną Polaków i Rosjan**
- 12 Zdzisław Pietrasik **LONDYN 2012 Magia igrzysk**
- 14 Jacek Żakowski **Zniewoleni dreskodem**
- 18 Bianka Mikołajewska **Rynek DNA wymknął się spod kontroli**
- ESEJ**
- 22 Adam Krzemiński **Od demokracji bezpośredniej do hybrydowej**
- POLITYKA**
- 25 Mariusz Janicki, Wiesław Władysław **Dlaczego PO wolno, a PiS nie?**
- 28 Janina Paradowska **Dwa lata prezydentury bez zakrętów**
- 30 Grzegorz Rzeczkowski **Wszyscy (liczni) doradcy premiera**
- KRAJ**
- 32 Joanna Podgórska **Gessler – jedna marka, trzy patenty na biznes**
- 36 Marcin Kołodziejczyk **Koniec Polskiej Kroniki Filmowej**
- 40 Piotr Pytlakowski **O Szeryfie z Kaborna, gangsterze Michaile Gorbaczowie i jego pięknej żonie**
- ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO**
- 42 Tomasz Sedláček, ekonomista i pisarz, o związkach gospodarki i religii
- RYNEK**
- 46 Adam Grzeszak **Urlop chętnie spędzamy w... domu**
- 50 Joanna Solska **Polskie seriale w finansowym kanale**
- 54 Wawrzyniec Smoczyński **Bankowe kolosy do lamusa!**
- ŚWIAT**
- 56 Katarzyna Kwiatkowska **ROSJA Wpadki patriarchy**
- 60 Adam Szostkiewicz **SYRIA Skryci alawici**
- 63 Joanna Orzechowska **FRANCJA Rozwiązała Marianna**
- 66 Inga Czerny **UNIA Klan Tombińskich**
- HISTORIA**
- 70 Paweł Szulc **Trzy inwazje z Marsa**
- 74 Tadeusz Olszański **Pierwsze igrzyska w Atenach: radość z tragedią w tle**
- NAUKA**
- 76 Adam Zubek **Fabryki pogody**
- 80 Agnieszka Krzemińska **Wyczytane z mozaiki**
- 83 Piotr Kaczmarczyk **Leki z dawnej apteki**
- 86 Karol Jałochowski **Czy istnieje rzeczywistość**
- KULTURA**
- 94 Zdzisław Pietrasik **Nasze paradoksy narodowe**
- 98 Justyna Sobolewska **Erotyczne e-booki**
- 102 Rozmowa z **Paulem Austerem** o jego nowej powieści „Sunset Park”, amerykańskim kryzysie i życiu na Brooklynie
- 105 Dorota Szwarzman **Festiwal muzyki i elegancji**
- 108 Bartosz Staszczyszyn **Filmowe kariery scenicznych komików**
- 111 **KAWIARNIA LITERACKA** Michał Witkowski
- 112 Mirosław Pęczak **Świeżość starego rocka**
- 115 **MEA PULPA** Kuby Wojewódzkiego
- PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI**
- 116 Zenon Kraska **WAKACJE Z PASJĄ**
- Tropem Polaków wśród Helwetów**
- ŁUDZIE I STYLE**
- 120 Artur Domosławski **Mockus – polityk performer**
- 124 Olga Woźniak **Uzależnieni od dotyku**
- 128 Marcin Piątek **Na co choruje polski sport**
- 138 Tadeusz Kowalik (1926–2012)
- NA WŁASNE OCZY**
- 140 Tomasz Kalita, fotografie Anna Musiałówna **Sztukmistrz z Lublina i nie tylko**

W NUMERZE



12, 128 **LONDYN 2012** Patent na mistrza



14 **Żakowski o prawie do krótkich spodni**



18 **Dziki rynek DNA**



63 **FRANCJA** Igraszki nad Sekwaną



76 **Złowieszcie Cumulonimbuse**

UWAGA CZYTELNICY!
NASTĘPNY NUMER

POLITYKI

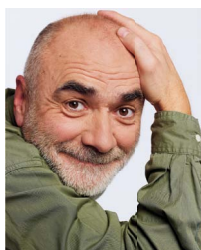
UKAŻE SIĘ W ŚRODĘ

22
SIERPANIA



ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Odgłos wolnych Polaków

„Jako wolni Polacy musimy stworzyć własną narrację, dlatego być może nasze krytyczne stanowisko wyrazimy także syczeniem, chrząkaniem, prychnieniem i beczeniem.”

W rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, na cmentarzu Powązkowskim, przedstawiciele środowisk patriotycznych tradycyjnie wydali z siebie odgłos polegający na donośnym buczeniu. O tym, dlaczego po raz kolejny postanowili w taki sposób zabrać głos i co on dokładnie znaczy, zapytałem jednego z inicjatorów wydarzenia.

– Buczymy, bo jesteśmy wolnymi Polakami i w ważnych dla Polski chwilach coś w nas zaczyna buczeć. W ten sposób możemy wyrazić to, co myślimy i czujemy. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my buczymy – wyjaśnił.

Pytam, czy zamiast buczeć, nie mogliby mówić ludzkim głosem? – Próbowaliśmy, ale ludziom takim jak my, buczyści, trudno

jest coś sensownego powiedzieć, zwłaszcza własnymi słowami. Boję się, że tego, co mamy w głowach, żadne słowa nie opiszą. Zresztą większość liczących się słów zawłaszczyły rządzące elity, narzucając nam swoją antypolską narrację. Dlatego w sprawach istotnych wolimy buczeć.

– Buczenie to dość uboga forma komunikacji.

– Umiemy także klaskać i gwizdać. Jeśli trzeba, możemy wyklaskać i wygwizdać wszystko i każdego. Jako wolni Polacy jedynie gwizdami, klaskaniem i buczeniem możemy przebić się przez agresywny jazgot salonu, elit i mainstreamowych mediów.

– Są subtelniejsze sposoby wyrażania własnego stanowiska.

– Proszę pana, nie każdy umie pisać patriotyczną poezję i prozę, jak Jarosław Marek Rymkiewicz. Wcześniej często zdarzało się nam krakać i wydawać groźne pomruki. Niestety, nawet najgroźniejsze wydawane przez nasze środowisko pomruki władza lekceważyła.

W dodatku takie pomrukiwanie tylko nas usypiało, dlatego uznaliśmy, że trzeba się obudzić, zacząć gwizdać, klaskać i buczeć. To głos naszego politycznego kręgu i trzeba go uszanować.

W jaki sposób zamierzacie się zachować podczas przyszłorocznych uroczystości, jeśli sytuacja w kraju się nie zmieni?

– Nie ukrywam, że myślimy o wzmocnieniu naszego komunikatu. Jako wolni Polacy musimy stworzyć własną narrację, dlatego być może nasze krytyczne stanowisko wyrazimy także syczeniem, chrząkaniem, prychnieniem i beczeniem.

– A jeśli mimo to nie zdołacie zmusić władzy do uznania waszych racji i podjęcia dialogu?

– Cóż, nie wykluczam, że w takiej sytuacji będziemy zmuszeni zareagować bekaniem. Rozważymy również wydawanie z siebie bardziej stanowczych i radykalnych odgłosów, o których jednak w tym miejscu nie chciałbym mówić.

INTERNET

NAJLEPSZY

INTERNET

MOBILNY

Założysz się?

- **do 100 Mb/s** – nikt nie ma szybszego internetu mobilnego
- **14,90 zł** – nikt nie ma tańszego abonamentu
- **szerszego zasięgu** nie ma nikt

Szczegóły na www.plus.pl

Prędkość i wysokość abonamentu dot. oferty w technologii LTE. Wysokość abonamentu porównano z uwzględnieniem regulaminów ogólnodostępnych promocji na dzień 3.08.2012 r. Prezentowany zasięg dot. technologii HSPA/HSPA+ oraz LTE.

DAJ O SIEBIE ZADBAĆ

Kup książkę

plus 

Kłopoty króla Midasa

Adam Grzeszak

Marcin Plichta, właściciel słynnego parabanku Amber Gold, a także upadłej linii lotniczej OLT Express, od kilku tygodni ma same kłopoty. W poniedziałek po raz pierwszy pokazał się publicznie i przeszedł do ataku. Zarzuca państwu, że uruchomiło tajne i jawne służby (KNF i ABW), by zniszczyć jego i jego firmy. Dlaczego? Ze strachu o los spółek państwowych, dla których sukcesy młodego (28 lat) gdańskiego biznesmena były zagrożeniem. Powołuje się na tajne dokumenty i tajemnicze źródła informacji. Kluczy, uchyla się od niewygodnych pytań.

Siebie stara się prezentować jako króla Midasa, który zamieniał w złoto wszystko, czego się dotknął. Plichta za pieniądze klientów kupuje kruszec i w ten prosty sposób złote ulegają pomnożeniu. Klient dostaje kilkanaście procent, a czasem i więcej zysku, Amber Gold zaś zarabia jeszcze lepiej. I to niezależnie, czy cena złota idzie w górę, czy też spada. Jak to możliwe? Biznesmen ogranicza się do ogólnikowych wyjaśnień, a eksperci kręcą głowami. Podejrzewają, że chodzi tu o piramidę finansową, polegającą na kuszeniu zyskami wypłacanymi z pieniędzy dostarczanych przez kolejnych klientów.

Plichta zaprzecza, powołując się na prokuraturę, która od dawna bada Amber Gold i piramidy nie wykryła. Podobne cudowne po-



mnożenie pieniędzy miało przynieść stworzenie linii lotniczej OLT Express, która, jak podkreśla Plichta, błyskawicznie znokautowała PLL Lot i Eurolot i przekreśliła szanse na prywatyzację Lotu. To miało sprowokować państwo do radykalnych działań, wskutek których OLT zbankrutował. Teraz kolej przyszła na Amber Gold.

Plichta z miną pokerzysty przekonuje, że padł ofiarą spisku. Zaatakowane instytucje państwowe tłumaczą się w sposób niejasny i nieskoordynowany, co pozwała utrwać biznesmenowi spiskową teorię kłopotów. Zapewne w przyszłości może tym tłumaczyć niewypłacalność Amber Gold. Teoria, jakoby OLT zagroził prywatyzacji Lotu, jest równie nieprawdopodobna jak cudowne recepty na pomnażanie pieniędzy. Połączenia krajowe są dla Lotu uciążliwym obowiązkiem, w tym biznesie zarabia się na trasach międzynarodowych. OLT nie mógł być maszynką do zarabiania pieniędzy i w niczym Lotowi nie zagroził. Porażka planów prywatyzacyjnych (już nie wiadomo która w historii) miała zupełnie inne przyczyny. Właściwie nie chodziło o prywatyzację, lecz o pozyskanie udziałowca do spółki, w której państwo jest współwłaścicielem i ma zagwarantowane przywileje. A na taki interes nie pójdzie żaden inwestor. Nawet Amber Gold.



© WOJCIECH STROZYK/REPORTER

Wawelski smok zadłużenia

Kraków ma kłopoty finansowe. Kolejny raz w tym roku część pracowników opłacanych z miejskiej kasy nie otrzymała w terminie wynagrodzenia. Krakowski magistrat tłumaczy, że zabrakło pieniędzy na wypłaty, bo Ministerstwo Finansów nie przełało na czas należnej Krakowowi części podatku PIT. A miasto musiało w pierwszej kolejności regulować raty zaciągniętych kredytów. Tylko w tym roku miasto musi oddać 454 mln zł z ponad 2 mld zł długu. Tymczasem cały budżet to 3,5 mld zł. Choć Kraków nie był miastem gospodarzem Euro 2012, przygotowywał się do imprezy intensywnie. Spora część pożyczonych pieniędzy poszła na inwestycje usprawniające komunikację i na obiekty sportowe, w tym na modernizację dwóch stadionów – Wistły i Cracovii (łącznie 678 mln zł) oraz budowę hali w Czyżynach (366 mln zł). Teraz trzeba zacisnąć pasa.

Dziś Kraków należy do grupy miast o najwyższym poziomie zadłużenia. Dług stanowi tu ok. 59 proc. rocznych dochodów. Jak policzyli eksperci Instytutu Kościuszki, najwyższy skumulowany dług jawny i ukryty, przekraczający 90 proc., mają dziś Szczecin, Bydgoszcz i Poznań. Jednak rekordzistami pod względem poziomu zadłużenia są gminy: Przemków (130 proc.), Słupia (110 proc.), Nowinka (106 proc.) oraz Pątnów (104 proc.). (A.Grz.)

Abolicja abonamentowa

SLD pracuje nad własnym projektem ustawy o finansowaniu mediów publicznych. – Z Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji dochodzą do nas sygnały, że minister Michał Boni we wrześniu przedstawi rządowy projekt w tej sprawie. Gdy trafi on do Sejmu, będziemy pracować nad dwoma projektami. Jeśli nie wpłynie we wrześniu, to nie będziemy czekać z naszymi propozycjami i złożymy je u marszałka – mówi Dariusz Joński (SLD) z sejmowej komisji kultury i środków przekazu. Dodaje, że projekt SLD będzie zakładał finansowanie mediów publicznych z budżetu państwa, ale nie ustalono jeszcze, na jakim poziomie. Wiosną Michał Boni deklarował, że do końca sierpnia nowa ustawa o finansowaniu mediów ujrzy światło dzienne. Nie wiadomo, jakiego nabierze kształtu, ale pod uwagę brane jest m.in. samoopodatkowanie się prywatnych nadawców, telewizja bez reklam oraz stworzenie Funduszu Misji Publicznej. W zeszłym roku wpływy z abonamentu do TVP i Polskiego Radia były najniższe w historii. Telewizja otrzymała 205,4 mln zł – o 16 mln mniej niż rok wcześniej i o 95 mln mniej niż dwa lata wcześniej.

Jeszcze pod koniec marca wiceminister kultury Piotr Żuchowski pisał w odpowiedzi na interpelację poselską, że „ministerstwo nie planuje wprowadzenia zmian w zakresie obowiązku uiszczania opłat abonamentowych”. Nijak się to ma do słów Donalda Tuska wypowiedzianych wiosną cztery lata temu, że „abonament radiowo-telewizyjny jest archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych, haraczem ściągającym z ludzi, dlatego rząd będzie zabiegał o poparcie prezydenta i opozycji dla jego zniesienia. Mam zbyt wiele informacji na temat nieracjonalnego wydawania pieniędzy publicznych, pieniędzy podatnika, jeśli chodzi o media publiczne”. Projekt SLD ma znieść abonament RTV. – Więcej kosztuje ściąganie ludzi za niepłacenie abonamentu, niż wynoszą realne wpływy z niego – mówi Joński. Dodaje, że wraz z wejściem w życie nowej ustawy o finansowaniu mediów wszyscy, którzy abonamentu nie płacili, będą mogli liczyć na abolicję. (Dąb.)

Byłam na Przystanku

Co najbardziej zdumiewa czy wręcz urzęka kogoś, kto po raz pierwszy pojawia się na Przystanku Woodstock k. Kostrzyna na Odrę, gdzie Jerzy Owskiaki serią rockowych koncertów dziękuje tym wszystkim, którzy uczestniczą w Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy? Można zapewne powiedzieć, że ogrom przedsięwzięcia, którego uczestników policzyć się po prostu nie da. Niektórzy mówią, że w tym roku zjechało pół miliona młodych, ale i nieco bardziej zaawansowanych wiekiem, inni – że 600 tys., ale może było ich 700 tys. Sobotnim popołudniem korek samochodów ciągnących na ostatni koncert był tak samo długi jak wówczas, gdy festiwal się zaczynał. Te ostatnie trzy, cztery kilometry wielu „przejeżdża” już tylko pchając samochody, by nieco benzyny oszczędzić i zmniejszyć koszt dotarcia na festiwal.

Widoki dawno w Polsce niewidziane. Wzdłuż polnej, biegnącej przez las i zagajniki drogi (świeżo utwardzony spory kawałek to zasługa wizyty prezydentów Polski i Niemiec, dla których nieco wygodniejszy dojazd przygotowano – i dobrze, przyda się na przyszły rok), na polanach co krok parkingi wypełnione samochodami i przyklejonymi do nich namiotami tak gęsto, że zdawałoby się szpilki się nie wciśnie. A po kilku godzinach okazuje się, że jeszcze ich przybyło i wjeżdżają następne. Jakiś cud? Można też mówić o wrażeniu, jakie robi sprawność organizacyjna całego przedsięwzięcia. Niezliczone koncerty, różnego rodzaju warsztaty artystyczne czy spotkania w Akademii Sztuk Pięknych (której miałam przyjemność być jednym z tegorocznych gości) rozpoczynają się z nadzwyczajną punktualnością, chociaż wydawałoby się, że takie mrowie imprez jest nie do opanowania, że gdzieś coś musi się posypać. Ale się nie sypie.

Największe wrażenie robi jednak to, że wchodząc na Przystanek Woodstock wchodzi się do przedziwnej enklawy ludzi zadowolonych, a nawet szczęśliwych. Ci, którzy pracowali przygotowując teren, budowali sceny, nosili i montowali te niezliczone tony wszelkiej aparatury, ciągnęli kilometry kabli, często mówią, że za pieniądze by im się tak nie chciało, jak tu, w ramach pracy społecznej. Uczestnicy zadowoleni są bez względu na to, ile czasu stać będą w długiej kolejce, aby dostać się pod prysznic lub do niebieskiej budki opatrzonej napisem *toi toi*, czy dopchają się do kranu z zimną wodą; czy wiatr zamiecie kurzem, czy trzeba brnąć przez kałuże błota po ulewie, jaka spadła w piątkowe przedpołudnie. Padało? To dobrze, będzie mniej kurzu, a przemoczone ubrania wysuszy się w domu. Słońce piecze niemiłosiernie? Też dobrze, ciuchy i namiot podeschną. Choć w gruncie rzeczy nie ma to większego zna-

czenia, bo Woodstock żyje swoim rytmem niezależnie od pogody. Powoli, na luzie rozkręca się przedpołudniami, pulsuje wieczorami, bywa, że szaleńczo tętni nocą, gdy rockowe zespoły grają tak, że serca wyrwywają z piersi. Można jednak o 2 w nocy posłuchać również filharmoników grających Vivaldiego. Kto ma nowy dobry pomysł, będzie przyjęty, dostanie ten swój „kawałek podłogi”. Czasem wypadnie on na ubitej glinie, czasem na gruncie, gdzie woda tryska spod stóp.

Dla takiego właśnie grania jadą te tysiące, już nie tylko z Polski. W tym roku wyjątkowo licznie pojawili się Niemcy, nie tylko w ślad za swoim prezydentem, ale po prostu dlatego, że Woodstock zaczyna otaczać sława największego festiwalu w Europie (program to już gruba książka), gdzie wszyscy znakomicie ze sobą współżyją, jest bezpiecznie, nie ma awantur, choć piwa prawie nikt sobie nie odmawia.

Przystanek Jezus, który może miał być konkurencją, wtopił się też w krajobraz i stał się jego trwałym elementem, podobnie jak obozowisko Hare Kriszna. Mają swoje sceny, swoje programy, ale tak naprawdę wszystko jest przemieszane, bo nie ma żadnych barier, podejrzliwości, agresji. Książd pograżony w rozmowie z chłopakiem, któremu spod dredów twarzy nie widać, nie jest tu widokiem nadzwyczajnym. Zresztą tu nic nikogo nie dziwi.

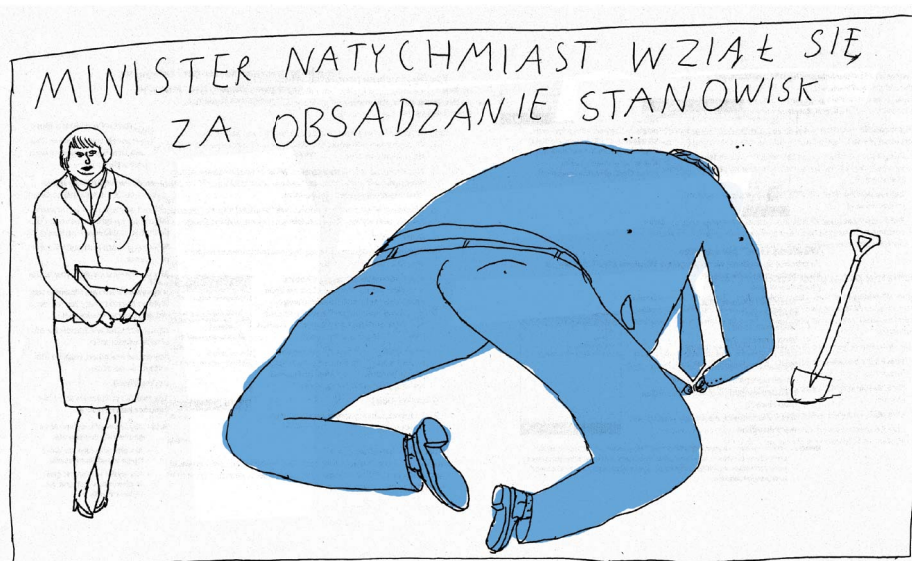
Nie wierzyłam, że do Akademii Sztuk Pięknych od godzin porannych ciągnąć będą tłumy. Jeszcze żeby posłuchać i zobaczyć prezydentów Gaucka i Komorowskiego – to tak, ale potem już nasza drużyna gości (biskup Pieronek, kierowca rajdowy Hołowczyc, trener Strejlau, kapitan Wrona, żeglarz kpt. Paszke, red. Wołoszański,



ekolog Bożek, gen. Skrzypczak i na koniec ja) wydawała się przynajmniej w części stać na pozycjach spalonych. Tymczasem nie, wielki namiot pełen był młodych ludzi autentycznie ciekawych różnych spraw, żywiołowo reagujących, przeważnie mądrze pytających. Czasem mających swoje porachunki z państwem polskim.

Gen. Skrzypczak sporo gorzkich słów wysłuchał od weteranów, którzy przebywali na misjach i dziś czują się porzuceni. Biskup Pieronek tłumaczyć się musiał, dlaczego Kościół nie rozprawia się zdecydowanie z pedofilią. Niżej podpisana nie oberwała wprawdzie za marną jakość klasy politycznej, ale za bezmyślność dziennikarstwa pogłębiającego polityczne podziały i owszem. I co jest w tych spotkaniach ujmujące? Że słuchają, że chcą zadawać pytania, mają swoje opinie i czy się z kimś zgadzają, czy nie, na koniec jeszcze odśpiewają „Sto lat”. I nawet już nie wypada westchnąć, żeby przynajmniej od czasu do czasu tak było w polityce. Ale taki cud się nie zdarzy. I dlatego warto przeżyć Woodstock, coś jak łyk świeżego powietrza, co w przypadku nagromadzenia takiej masy ludzi na ograniczonym w końcu terenie może brzmieć dziwacznie, ale jest po prostu prawdziwe.

Jan Koza



Ciemno w Indiach

To był największy blackout w historii, przez dwa dni pół Indii, około 600 mln ludzi, musiało się obejść bez energii elektrycznej. Padła cała przeciążona sieć na północy kraju, w 20 z 28 stanów. Stały setki pociągów dalekobieżnych, składy metra w stołecznym Delhi, windy w kopalniach, klimatyzatory i instalacje dostarczające wodę, zgasła sygnalizacja świetlna. Przyzwyczajeni do ruletki stopni zasilania Indusi jakoś sobie poradzili, prędko uruchomili spalinowe generatory, dzięki którym pracowały zarówno wielkie lotniska i szpitale, jak i małe sklepowe lodówki. Jednak w wielkim blackoucie wyraźnie przygasyły mocarstwowe aspiracje Indii. Zwłaszcza marzenie, by w ciągu kilku dekad gospodarczo prześcignąć wielkiego rywala, sąsiednie Chiny.

Brak prądu elektrycznego w gniazdkach ma być wynikiem burzliwych zaniedbań, unikania niezbędnych reform i ogólnego rozgardiaszu panującego w największej demokracji świata, nie tylko w energetyce. Na dodatek ludne Indie nie mają wystarczającej infrastruktury. Pociągi są potwornie zatłoczone, na drogach i bez energetycznego pandemonium panuje chaos, można zresztą na nich spotkać zarówno osły zaprzęg, jak i sportowe samochody. Jednocześnie aż co czwarty mieszkaniec Indii to analfabeta. I jakby tego było mało, indyjski eksport wyraźnie traci na kryzysie w Europie, a zagraniczni inwestorzy wolą robić interesy w Chinach. Bo komuniści może i są autorytarni, ale przynajmniej dbają o porządek.

Clinton odbija Afrykę

Hillary Clinton podróżuje po Afryce Subsaharyjskiej. Spędzi tam aż 11 dni i spróbuje osłabić chińskie wpływy na kontynencie. Na początek w Dakarze szefowa amerykańskiej dyplomacji dała do zrozumienia, że chiński protektorat – czyli pomoc dla afrykańskich państw, także bezwzględnych reżimów, w zamian za zgodę na eksploatację surowców naturalnych – wcale się Czarnemu Lądowi nie opłaca. Na to natychmiast zareagowała chińska prasa, która oskarżyła Clinton o próbę skłócenia Pekinu z Afryką. Zniwelowanie chińskiej obecności będzie bardzo trudne, zwłaszcza że to Chiny są największym partnerem handlowym Afryki i to one są tam szalenie aktywne. Kilka dni przed podróżą Clinton odbył się już piąty szczyt Afryka-Chiny, zwany złośliwie hołdem afrykańskim. Do Pekinu zjechali przedstawiciele kilkudziesięciu państw, którzy w zamian za przyrzeczenia przyjaźni i utrzymanie dostępu do surowców mogli m.in. zrobić sobie zdjęcie z przewodniczącym Hu Jintao i usłyszeć obietnice kredytów wartych w sumie 20 mld dol.

Wobec tak hojnej oferty propozycje amerykańskie wypadają skromnie. USA obiecują też pomoc, ale w zamian wymagają przestrzegania zasad demokracji

i szanowania praw człowieka. A to przychodzi z trudem m.in. Senegalowi, Ugandzie, Sudanowi Południowemu, Kenii, Malawi, RPA i Ghanie, czyli krajom, które odwiedzi Clinton.



© APPEAST NEWS

Bazy: kto da więcej

Im bliżej daty wycofania wojsk amerykańskich z Afganistanu w 2014 r., tym więcej problemów z rosyjskimi bazami w byłych radzieckich republikach sąsiadujących z tym krajem. Kirgizja, Uzbekistan i Tadżykistan przedstawiły Moskwie wygórowane rachunki za dalsze funkcjonowanie rosyjskich obiektów militarnych. Chodzi m.in. o poligon broni podwodnych, stację ostrzegania o ataku nuklearnym, lotniska i centrum łączności kosmicznej. Jak przyznaje Moskwa, są to obiekty strategiczne, których zastąpienie nie jest możliwe ze względu na ich położenie geograficzne.

Dla porównania: dzierżawa baz Floty Czarnomorskiej na Ukrainie kosztuje Rosję 100 mln dol. rocznie, podczas gdy sama Kirgizja zażądała 250 mln dol. Według agencji Lenta.ru, za wszystkim stoi Pentagon, który po wyjściu z Afganistanu zamierza wybudować własne bazy w po-radzieckiej Azji Środkowej. Rosyjskie media przewidują narastanie rywalizacji rosyjsko-amerykańskiej o wpływy w tym niestabilnym regionie świata, który Moskwa uważała dotąd za swoją strefę uprzywilejowanych interesów.

Najazd Greków

Grecy mają za złe Niemcom i osobiście kanclerz Merkel, ale to w niczym nie krzyżuje ich planów wyjazdowych. Grupa greckich emigrantów w Niemczech przekroczyła w tym roku 400 tys. i rośnie w tempie 25 tys. rocznie. Tyle że w niczym nie przypominają gasterarbeiterów z lat 60. i 70. Dziś to najczęściej wysoko wykwalifikowani, dobrze wykształceni i znający język specjaliści, którzy aplikowali na te same stanowiska co Niemcy. Pracy szukali w Internecie, mają podobne kwalifikacje i obracają się w tej samej wirtualnej rzeczywistości. Oczywiście w Niemczech mocno się trzyma stereotyp „leniwego Greka”, a ostatnio „załużonego jak Grek” i wśród imigrantów nadal zdarzają się niewykwalifikowani robotnicy. Ale dzisiejsza emigracja może być bardziej kłopotliwa dla Grecji, która traci swoje elity, niż dla Niemców, których ludność, dzięki przybyzdom, pierwszy raz od 2002 r. wzrosła prawie do 82 mln.

© EAST NEWS

Cardin popsuje Wenecję?

Pierre Cardin, 90-letni biznesmen mody, ogłosił, że to jego ostatnie wielkie dzieło. Rzeczywiście wielkie: 60-piętrowa futurystyczna wieża, zaprojektowana przez jego kuzyna Rodrigo Basilicati, a w środku sale widowiskowe i sportowe, teatr, kina, galerie handlowe, superluksusowy hotel, apartamenty – oraz uniwersytet mody. Nazywa się skromnie Pałacem Światła i ma kosztować 1,5 mld euro. Wszystko byłoby świetnie, gdyby nie lokalizacja. Opuszczone przez rafinerie i fabryki chemiczne Porto Marghera jest wystarczająco blisko Wenecji, żeby 250-metrowa wieża Cardina (sam zresztą z tych okolic pochodzi) zakłóciła jej panoramę, chronioną przez UNESCO. Zwłaszcza nocą, ten rzęsiście oświetlony intruz, zdaniem krytyków „architektura rodem z Dubaju”, da Wenecji do wiwatu.

Administrujący regionem Veneto Luca Zaia, zwolennik projektu, tłumaczy klasycznie: inwestycja Azrewitalizuje ponury przemysłowy zakątek, da setki miejsc pracy i przyciągnie turystów, a z czasem stanie się tym, czym wieża Eiffla dla Paryża: da się do tego przyzwyczaić, a nawet pokochać. Na wszelki wypadek mistrz Cardin zagroził, że jeśli dyskusja pięknoduchów będzie się przeciągała, przeniesie Pałac Światła do Chin. Tam nie zasłoni żadnego widoku.

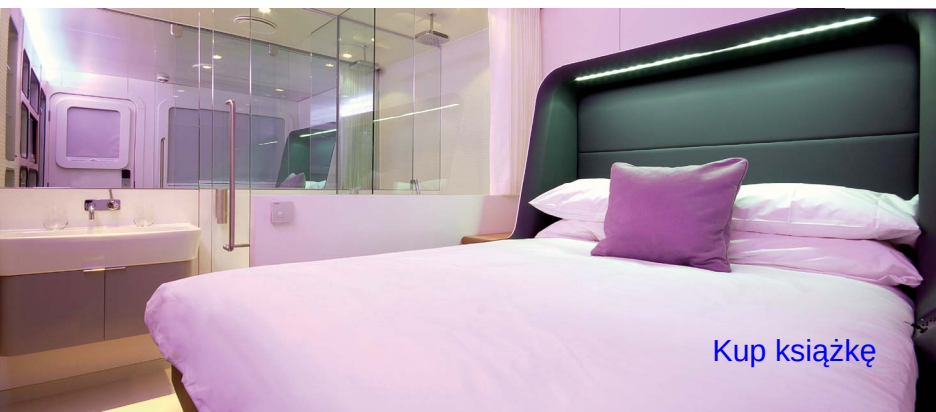


Kapsuła na godziny

Koniec spania na siedząco z opadającą ze zmęczenia na boki głową! Na lotniskach, od Londynu po Moskwę i od Monachium po Dubaj, pojawiły się minihotele, niewielkie pawilony oferujące nie tyle pokoje, ile kapsuły do spania. Yotel, który działa m.in. na londyńskim Heathrow i Gatwick, oferuje kapsuły na godziny. Koszt to równowartość 39 dol. za 4 godziny albo 93 dol. za całą noc. W środku jest łóżko, biurko i mała łazienka. Na lotnisku w Monachium jest sześć samoobsługowych napcabs. Na 4 m kw. powierzchni upchnięto jednoosobowe łóżko i mały stolik. Ale pomieszczenie jest klimatyzowane i ma dostęp do Internetu, a dwugodzinną

drzemkę można sobie w nim zafundować za 38 dol.

W Dubaju działają snoozecubes, czyli małe dźwiękoszczelne i podłączone do systemu informacyjnego lotniska – żeby pasażerowie nie przegapili swoich lotów – pokoje z łóżkiem, telewizorem i dostępem do Internetu. Z kolei na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo stoją sleepboxy. Godzina snu kosztuje w nich 15 dol. A projektanci planują, żeby w przyszłości sleepboxy pojawiły się też na stacjach kolejowych i np. w centrach wystawienniczych, czyli wszędzie tam, gdzie jest zbyt mało czasu, żeby szukać zwykłego hotelu, a zbyt dużo, żeby koczować na ławce.



Kup książkę

© MP

Pobłogosławiają małżeństwa gejów

Amerykański Kościół Episkopalny zaakceptował specjalną liturgię do użycia przez duchownych błogosławiących małżeństwa homoseksualne. Kościół należy do światowej Wspólnoty Anglikańskiej. Skupia ok. 2 mln wiernych, co daje mu 14 miejsce na liście organizacji religijnych w USA. Błogosławić pary homoseksualne księża episkopalni będą mogli w tych stanach, które zalegalizowały małżeństwa osób tej samej płci. Są to: Connecticut, Vermont, New Hampshire, Iowa, Massachusetts, New York. Za specjalną liturgią najpierw opowiedzieli się biskupi, a później delegaci (stosunkiem głosów 171 za, 50 przeciw) na zjazd Kościoła w Indianapolis. Liturgia dla małżeństw heteroseksualnych pozostaje niezmieniona. W nowym tekście nie pada słowo „małżeństwo”. Biskupi i biskupki episkopalne nie mają przymusu używania go na terenie im podlegającym, za co nie grozi im żadna kara kościelna. Anglikańscy konserwatyści uważają jednak, że de facto Kościół Episkopalny zaakceptował małżeństwa homoseksualne. Nie zaakceptowały ich natomiast amerykańskie wspólnoty zjednoczonych metodystów oraz prezbiterian. Ci ostatni jednak minimalną większością głosów. Ostrożnie poparł małżeństwa homoseksualne prezydent Obama.



© EPA/PAP

Misja patriarchy

W Polsce wciąż wiemy mało o prawosławiu, choć jest ono z nami od wieków.

Do Polski przyjeżdża patriarcha Cyryl I, prawosławny „prymas” Rosji. Nasze elity, zwłaszcza w Kościele katolickim, liczą, że to będzie wizyta historyczna. A szczególnie – wspólne orędzie wzywające wiernych obu Kościołów do wzajemnego wybaczenia krzywd. Ale to raczej pobożne życzenie.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Jeszcze Cyryl nie przyjechał, a już na polskiej prawicy poszły w ruch cepy. Chodzi o zdyskredytowanie wizyty, samego Cyryla oraz obozu rządzącego, przede wszystkim premiera Tuska. No bo jakże to – wywodzi Aleksander Ścios w „Gazecie Polskiej” – czy Tusk nie wie, z kim ma do czynienia? Przecież Cerkiew to narzędzie w rękach Putina i kagebistów, a Cerkiew pod wodzą Cyryla to wydział ideologiczny KC KPZR. Religijna fasada do robienia polityki. Prawica typu „GP” chce wpisać wizytę w narrację smoleńską: Cyryl przyjeżdża, by wykonać zadanie polityczne postawione mu przez Putina. Nie ma tu żadnego wymiaru duchowego, jest tylko czysta polityka. Putin chce być postrzegany jako promotor

zbliżenia rosyjsko-polskiego. Oczywiście na warunkach Kremla.

Tak myślący prawicowcy ignorują fakt, że dostojnicy Kościoła katolickiego mają inne zdanie. Bo oto kardynał Glemp o patriarchę mówi w superlatywach (w rozmowie z portalem cerkiew.pl): „Postrzegam Cyryla jako bardzo mądrego zarządcę” – widzi swój patriarchat jako część większej całości, czyli całego chrześcijaństwa. To „mąż opatrnościowy dla świata, Kościoła prawosławnego i naszych wspólnych kontaktów”. Prymas ma nadzieję, że dzięki Cyrylowi i wizycie powróci atmosfera ciepła, życzliwości i zrozumienia między oboma Kościołami i narodami.

Ten obraz Cyryla drastycznie odbiega z kolei od wizerunku patriarchy w mediach rosyjskich. Ostatnio Cyryl ma w opinii złą prasę. Nie całkiem sprawiedli-

wie. To postać barwna i zasłużona, a nie tylko posiadacz luksusowego zegarka. Pod jego rządami Cerkiew ma szansę stanąć kadrowo i organizacyjnie na nogi i być w życiu Rosji czymś więcej niż wielką instytucją charytatywną.

Wbrew czarnym stereotypom nie ma jak dotąd dowodów, że Cyryl był współpracownikiem KGB

i komuś zaszkodził. Ani że Cerkiew jest w jakimś podłym sojuszu z Kremlen. Cerkiew za Putina nie doczekała się nawet honorowania przez państwo dyplomów ukończenia studiów teologicznych na uczelniach duchownych ani powrotu religii do szkół. Patriarcha Cyryl dla części wiernych jest przywódcą, który przeprowadził Cerkiew z etapu feudalizmu do etapu korporacji i otworzył rosyjskie prawo-

sławie na świat. Między innymi dzięki doświadczeniu i kontaktom z lat, kiedy działał w międzynarodowym ruchu ekumenicznym, skupiającym katolików, prawosławnych i protestantów. Kierownictwu Kościoła w Polsce może być też po drodze z Cerkwią moskiewską ze względu na jej silny i powszechny antyliberalizm.

Ale na religijnym portalu areopag21 Marcin Gugulski, były działacz opozycji w PRL, w wolnej Polsce ZChN i towarzysza posła Macierewicza, na Cyryla patrzy całkiem inaczej. Atakuje premiera Tuska, że wmurował wspólnie z premierem Putinem kamień węgielny pod cerkiew w Katyniu w 2010 r., trzy dni przed katastrofą smoleńską. A przecież była to, zdaniem Gugulskiego, „samowola budowlana”, łamiąca wcześniejszą umowę polsko-rosyjską w sprawach miejsc pamięci. O cerkiew w Katyniu zabiegał od lat obecny patriarcha Cyryl, kiedy był biskupem Kaliningradu i Smoleńska. Ale Gugulski nie ma wątpliwości, że to „cerkiew Tuska”: tę cerkiew zbudowano nie dlatego, że chciał Cyryl, tylko że chciał Putin, a Tusk na to przystał.

W tym szaleństwie jest metoda. Upolityczniać wszystko, co robi obóz Tuska i Komorowskiego, i bez żadnych dowodów przedstawiać ich jako uległych Rosji. Odmawiać Tuskowi innych motywów działania niż czysto polityczne. A przecież na gest Tuska można popatrzeć jako na gest chrześcijański. Tusk wyczuwa, że chrześcijaństwa nie wolno „nacionalizować” i zawłaszczać. Chyba nie chcemy dzielić katyńskiego pola pamięci na nasze i obce, polskie i „ruskie”. Takie plemienne podejście wytykał Gugulskiemu polemista Tomasz Sulima: To może po prostu wybudujemy pośrodku katyńskiego cmentarza wysoki mur i każdy będzie mógł stawiać u siebie swoje krzyże i świątynie?

15 lipca tego roku Cyryl doczekał się realizacji swego zamierzenia. Poświęcił gotową cerkiew w Katyniu. Nazwał Katyń jedną z rosyjskich golgot. I dodał: W jakikolwiek sposób starano by się wymazywać prawdę o tej rosyjskiej golgotcie, która przyjęła do swojego wnętrza zarówno Rosjan, jak i Polaków, prawda zatriumfowała – Katyń to straszny symbol naszej wspólnej tragedii.

Jeśli rozpoczynając się 16 sierpnia wizyta Cyryla przebiegnie w tym duchu, to może być dobroczynna. W Polsce wciąż wiemy mało i myślimy źle o prawosławiu, choć jest ono z nami od wielu wieków. I wciąż żywe są negatywne stereotypy. Że to wiara „Ruskich”, religia zaborcy; że Cerkiew kolaborowała z komunistami w Rosji i w PRL.

A prawda jest taka, że w Katyniu NKWD zamordowało m.in. płk. Szymona Fedorenkę, prawosławnego kapelana Wojska Polskiego. Że prawosławie wyznaje dziś ok. 500 tys. obywateli polskich, wśród których jest niewielu Rosjan i Polaków,

a wielu Białorusinów, Ukraińców, Łemków, Słowaków. Że prawosławnych było przed wojną 3 mln, a przed zaborami w I Rzeczypospolitej mieli znaczenie porównywalne ze znaczeniem katolików.

Jesteśmy więc razem od wieków, a nie dopiero od zaborów. Szkoda, że w XVI w. zwyciężyło na dworze królewskim przekonanie, że interesom państwa będzie służyło przyłączenie prawosławia w Rzeczypospolitej do katolicyzmu drogą tak zwanej unii brzeskiej (1596 r.). Doszło wtedy do rozłamu na tzw. unitów i dyzunitów. Ta rana podziału do dziś nie jest całkiem zagojona.

Kto wie, czy gdyby Rzeczypospolita była państwem nie dwóch, lecz trzech narodów, gdyby staropolska elita władzy wykazała się dalekowzrocznością papieża Wojtyły i uznała świat prawosławia za jeden z filarów Europy chrześcijańskiej, może oszczędzone naszym narodom byłyby późniejsze bratobójcze krwawe konflikty. Jan Paweł II przypominał o dwóch płucach Europy. Miał na myśli chrześcijaństwo zachodnie i wschodnie – i wyrosłe na ich podłożu kultury. Nie dane mu było odwiedzić Rosji, choć o tym marzył. Gorbaczow i Putin byli na tak, ale póki żył patriarcha Aleksy, do pielgrzymki ostatecznie nie doszło, choć nie brakowało deklaracji dobrej woli. Cerkwi moskiewskiej bardzo się nie spodobało budowanie w Rosji federacyjnej struktur Kościoła katolickiego bez konsultacji z patriarchatem.

Jak daleko jesteśmy dziś od tamtego czasu wzajemnych uprzedzeń i podejrzliwości, pokaże i obecna wizyta następcy Aleksego, patriarchy Cyryla. Po raz pierwszy w historii głowa Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego odwiedza państwo polskie, polskich prawosławnych i demokratycznych liderów III RP. Jest w tym coś budującego właśnie teraz, gdy polscy nacjonaliści usiłują wepchnąć stosunki polsko-rosyjskie w stan zimnej wojny.

Jednym z punktów programu wizyty jest podpisanie wspólnego orędzia przez Cyryla i abp. Józefa Michalika, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Dokument wzywa wiernych obu Kościołów do wzajemnego wybaczenia krzywd. To jest niewątpliwie zapowiedź przyszłego powiedzenia sobie: przebaczymy i prosimy o przebaczenie – komentuje rzecznik KEP ks. Józef Kloch.

Czy jest za co przeproszać prawosławnych? Jak najbardziej. Wciąż żywe są wśród nich wspomnienia gwałtów zadanych im w Polsce po 1918 r. Odrodzone państwo polskie naciskało na prawosławnych biskupów, aby zerwali wszelkie więzi z Cerkwią moskiewską, czyli ogłosili autokefalię. Ogłosili. Ale pod koniec II Rzeczypospolitej i tak doszło do spalenia około stu cerkwi, głównie na Chełmsz-

czyźnie. To barbarzyństwo tłumaczono walką z ukraińskim terroryzmem i ekstremizmem. Przedwojenna polityka wobec mniejszości nie przyciągnęła ich do polskości, spotęgowała tylko w nich poczucie krzywdy i marginalizacji.

W Polsce Ludowej Kościół prawosławny pozostał autokefaliczny, za zgodą Moskwy, ale jego przedwojenny wybitny przywódca metropolita Dionizy został odsunięty i żył w Sosnowcu w rodzaju internowania znacznie dłużej niż też izolowany przez komunistów prymas Wyszyński. Choć los zgotował obu duchownym podobne opresje, Wyszyński nie interesował się bliżej Dionizym i Cerkwią w Polsce.

W Rosji bolszewickiej było znacznie gorzej. Tam Cerkiew była najpierw metodycznie niszczone, świątynie ograbiane i profanowane, duchowni i wierni zaś więzieni i zabijani, a później została poddana totalnej kontroli i inwigilacji i sprowadzona do roli skansenu babuszek. Co nie znaczy, że prawosławie mogło się w PRL rozwijać całkiem swobodnie i samorządnie. Nawet w wolnej Polsce po 1989 r. dochodziło do spięć, jak w Supraślu, gdzie zwrot słynnego klasztoru Kościołowi prawosławnemu szedł opornie. Jednak to chyba dopiero w III RP prawosławie może wreszcie żyć własnym życiem, a państwo traktuje je przyzwoicie.

Czy orędzie polsko-rosyjskie odegra rolę taką jak słynny list biskupów polskich do niemieckich z 1965 r.?

Taką nadzieję mają ludzie w obu Kościołach, którzy przez trzy lata nad orędziem pracowali. I środowiska, których symbolem może być prof. Adam Daniel Rotfeld, były minister spraw zagranicznych RP, obecnie przewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy do spraw Trudnych. Rotfeld uważa, że orędzie to akt historyczny, ale zastrzega, że nie wyda on owoców, jeśli nie trafi na podatny grunt.

Świąta racja, panie profesorze, chciałoby się powiedzieć. Ale czy trafi? Czas takich dokumentów chyba minął. Już podobny w intencjach list polsko-ukraiński, firmowany w 2005 r. przez abp. Michalika i zwierzchnika Kościoła katolickiego obrządku bizantyjsko-ukraińskiego (unickego) Lubomyra Huzara, przeszedł bez większego echa, choć też odwoływał się do formuły „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”.

Co ważniejsze, pojednanie i dialog coraz trudniej odgórnie dekretować i wcielać w życie. Ludzie muszą chcieć się jednać i dialogować, przeproszać i wybaczać. Cyryl podpisze i wyjedzie. Los orędzia zależy od tego, czy przebiję się do wiernych i obywateli w Polsce i Rosji. Żeby się przebiło, musi być nagłośnione. Na początek trzeba by je odczytać z ambon w obu krajach. Ale musi być też wiarygodne.

Sylwetka patriarchy Cyryla i s. 56

Mocarze i statyści

ZDZISŁAW PIETRASIK

Królowa sportu nadal panuje. Gdybyśmy mieli wybrać tylko jedną olimpijską konkurencję, z pewnością wielu kibiców zdecydowałoby się na finał biegu mężczyzn na 100 m. Który trwa mniej niż 10 sek., a przecież na stadionie – a zwłaszcza na ekranach telewizyjnych – staje się wielkim spektaklem. Od prezentacji sprinterów poczynając, którzy przed startem wykonują całą złożoną choreografię nie zawsze zrozumiałych dla widzów gestów, do pokazywanej potem dziesiątki razy końcówki. O zwycięstwie decydują setne części sekundy. Tak też było w Londynie, gdzie w głównych rolach wystąpili dwaj biegacze z Jamajki. (Dzień wcześniej reprezentantka tej wyspy wygrała finał kobiet).

Usain Bolt czy Yohan Blake? – zastanawiali się eksperci, pozostającym, też świetnym biegaczom, pozostawiając role statystów. Dwaj prawdziwi herosi dzisiejszych stadionów, razem trenujący przyjaciele, ale i konkurenci. Starszy o trzy lata Bolt na poprzednich igrzyskach był poza zasięgiem rywali, bił rekordy i zdobył trzy złote medale (na 100 m, 200 i w sztafecie). Jeszcze niedawno wydawało się, że nie znajdzie godnego siebie przeciwnika. Tymczasem Blake został mistrzem świata, a w tym roku osiągnął najlepszy wynik – lepszy od Bolta o 1 setną sekundy. Tylko i aż o setną część sekundy! Zapowiadała się wspaniała walka, którą chciał na żywo oglądać cały Londyn. Mistrz odparł atak młodszego kolegi, udowadniając, że jest dzisiaj największą gwiazdą lekkiej atletyki. Najszybszym człowiekiem na świecie i showmanem, doskonale wiedzącym, iż kamery obserwują go także po ukończonym biegu.

Jednak nie tylko sprint gromadził w weekend przed telewizorami miliardową publiczność. Emocjonujący był bieg na 10 km, w którym triumfował pochodzący z Somalii reprezentant Wielkiej Brytanii Mohhamed Farah, a na drugiej pozycji metę minął Amerykanin. Teraz na tym dystansie wygrywają już nie tylko biegacze z Afryki. Ale na 3 km z przeszkodami potwierdzili swą dominację. (Starsi kibice zapewne pamiętają, iż niedługo na tym „polskim dystansie” złote medale olimpijskie zdobywali Zdzisław Krzyszkowiak i Bronisław Malinowski).

Jeszcze raz zadziałała magia igrzysk olimpijskich. Oglądając relacje z Londynu mogliśmy się przekonać, że sport może być piękną, szlachetną rywalizacją.



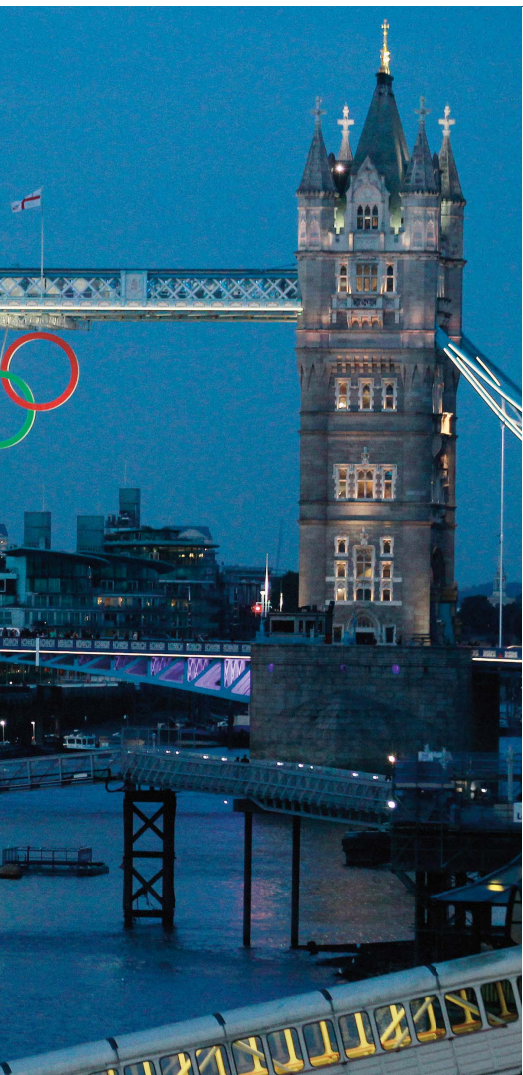
Jak było do przewidzenia, na lekkoatletycznych arenach nie padają rekordy świata i raczej do końca igrzysk niewiele się zmieni. To nie pływanie, gdzie do granic ludzkich możliwości ciągle daleko, nie mówiąc o inwencji producentów kostiumów. Najlepszy pływak świata Michael Phelps (22 medale, w tym 18 złotych) postanowił wprawdzie zakończyć karierę, ale niewykluczone, iż wkrótce pojawi się nowa gwiazda pływalni. Są konkurencje, w których od lat obserwuje się regres, przykładem choćby tegoroczny finał skoku w dal. O powtórzeniu wyniku Boba Beamon (890 cm w 1968 r. w Meksyku) nikt już chyba nawet nie marzy. Co nie znaczy, że sama konkurencja przestała być ciekawa.

Klasa mistrzowska

Jak zawsze na igrzyskach, liczą się tylko zwycięzcy i przegrani. Dzięki wszechobecnym kamerom obserwujemy z bliska każdy gest współczesnych gladiatorów. Na przykład pospiesznie wykonywany znak krzyża, także według reguły prawosławnej. Czasem próby czarowania sprzętu. Oto jeden z ciężarowców, podchodząc

do rwania, czule gładzi sztangę, jakby chciał zaczarować tę kupę żelastwa. Potem kamera pokazuje szlochającą rosyjską dyskobolkę, a nie są to łyzy szczęścia, mimo że zajęła dobre, drugie miejsce. Zdecydowanie dłużej celebrowani są na ekranie triumfatorzy, do których organizatorzy dopuszczają nawet rodziny, no może tylko wtedy, gdy wygrywa reprezentant gospodarzy. Tak czy inaczej, widok brytyjskiego zwycięzcy, obejmującego na bieżni córeczkę i żonę w ciąży, naprawdę był wzruszający. Łzy podczas słuchania hymnu, triumfalne biegi z narodową flagą, całkiem nowy obyczaj przeniesiony z boisk piłkarskich, czyli wymiana koszulek – to są momenty, w których chce się nadal wierzyć w sens szlachetnej sportowej rywalizacji.

Z naszych sportowców na razie (mamy poniedziałek) klasę mistrzowską pokazali mocarze. Ciężarowiec Adrian Zieliński i kulomiot Tomasz Majewski: mający za sobą zupełnie różne drogi na najwyższy stopień podium. Majewski przypomina naszych dawnych wspaniałych lekkoatletów, może nawet samego Władysława Komara, który został złotym medalistą 40 lat temu. (I popłakał się słuchając w Monachium



polskiego hymnu). Też jest sympatycznym olbrzymem z poczuciem humoru: przed turniejem oświadczył, że wprawdzie miałby z kim przegrać, ale nie zamierza tego robić. No i w Londynie słowa dotrzymał. Od dawna nie widzieliśmy polskiego zawodnika zachowującego taki olimpijski spokój. Nie ma wątpliwości, że gdyby rywale bardziej mu dokuczali, pchnąłby żelazną kulę jeszcze dalej. Konkurencja, którą trudno nazwać porywającą, dzięki stylowi Polaka nabrała wręcz elegancji, choć trudno się spodziewać, że Majewskiego zaczną teraz naśladować masowo młodzi Polacy, bo to jednak piekielnie trudny sport. Na pewno zaś w warszawskim metrze, gdzie go nieraz widuję, może liczyć na wyrazy podziwu i szacunku.

Przykładem w rodzinnej Mroczy świeci natomiast złoty ciężarowiec Adrian Zieliński, też przypominający dawnych polskich mistrzów, którzy pochodzili z małych miejscowości i dzięki sportowi osiągnęli w życiu sukcesy, także po zakończeniu kariery. Byli to właśnie ciężarowcy, ale też kolarze czy bokserzy. O poziomie sportu w Polsce decyduje dzisiaj wiele czynników, na pewno pieniądze, stan bazy

i fachowość kadry szkolącej. Ale jest jeszcze jeden, może rozstrzygający element, mianowicie brak motywacji młodych ludzi, dla których sport, wymagający dzisiaj wielkiego poświęcenia i morderczej, wieloletniej pracy, nie wydaje się atrakcyjną karierą. Oni nie mają charakteru zwycięzców. A może w zupełności wystarczają im triumfy w grach komputerowych.

Pożegnanie z Wołodajewskim

W polskiej mitologii sportu mamy krępujące opowieści o zawodnikach walczących nie tylko z rywalami, lecz z własną słabością. Niedysiejsze legendy przypominały relacje sprawozdawców z wyścigu naszych wioślarek Julii Michalskiej i Magdaleny Fularczyk. „To nie był wyścig z rywalkami, to był wyścig z bólem” – można było przeczytać w prasie sportowej. Polki zdobyły brązowy medal. Pani Magdalena, która od dawna narzekała na dolegliwości kręgosłupa, nie miała siły się cieszyć, ponieważ zastrzyki przeciwbólowe przestały działać. Wróciła do wioski olimpijskiej na wózek inwalidzki.

Podobnej determinacji zabrakło wielu polskim reprezentantom. Przez pierwsze dni igrzysk czytanie tabel wyników mogło wprawić w stan głębokiej depresji. Nasi masowo przegrywali w eliminacjach, nie zawsze z klasowymi rywalami. Inni mobilizowali się właśnie na Londyn, a nasi wręcz przeciwnie, tu osiągnęli najslabsze rezultaty. Młociarz Paweł Fajdak, który miał zastąpić starego mistrza Szymona Ziółkowskiego (7 miejsce w finale), spalił wszystkie trzy próby w eliminacjach i nie dał sobie nawet szansy, by powalczyć z najlepszymi w finale. Zawiodł nawet koń polski, niedopuszczony do konkursu WKKW z powodu orzeczonego przez weterynarzy braku „czystości chodu”.

Nieoczekiwanie bohaterką negatywną stała się Agnieszka Radwańska, niedawno wychwalana i podziwiana po grze finałowej na kortach Wimbledonu. Na igrzyskach poległa, i to trzykrotnie, a kibice mają brzydkie podejrzenia, że nie przyłożyła się do występu tak jak do turniejów Wielkiego Szlema. Jak zatem ocenić rezultaty w dyscyplinach uważanych do niedawna za naszą specjalność narodową? W szermierce klęska tak sromotna, że chciałoby się za Sienkiewiczem zawołać: „Panie pułkowniku Wołodajewski, larum grają! Biją naszych w Londynie, a ty się nie zrywasz, szabli nie dobywasz?”. Niestety, musimy chyba ostatecznie pogrzebać mit potomków „małego rycerza”.

Już tylko możemy wspominać wspólnych długodystansowców z czasów Wunderteamu. Na średnich dystansach też miało być lepiej. Doszło do tego, że honoru polskiego pięściarstwa broniła

jedynie Karolina Michalczuk, też zresztą poległa w pierwszym starciu z rywalką z Indii. Nie powiodło się żeglarzom, fatalnie zaprezentowali się pływakcy. Porażkę wychodzącą już chyba z wody Otylii Jędrzejczak da się jakoś wytłumaczyć, ale dlaczego przegrał, stawiany w roli faworyta (także przez POLITYKĘ), Konrad Czerniak, on sam nie wie. Gdyby w finale 100 m motylkiem popłynął w czasie rekordu życiowego, zdobyłby złoty medal. Ale był ostatni. Jeszcze Marek Sawrymowicz próbował jakoś gonić czołówkę, zajmując ostatecznie siódme miejsce w finale. Też nie ma powodu do zachwyty.

Naszych pływaków startujących w Londynie można pochwalić tylko za jedno: żaden nie utonął.

Dobrze, iż na placu boju pozostają siatkarze, choć przegrana z Australią w ostatnim meczu fazy grupowej była przykrym zaskoczeniem. Polacy jednak wciąż wierzą w drużynę prowadzoną przez włoskiego trenera Anastasiego. Oglądanie siatkówki stało się w kraju nowym obyczajem. Pewnie także dlatego, iż stanowią przeciwieństwo piłkarzy, nazywanych w przyśpiewkach „biało-czerwonymi”. Mają charakter, potrafią wygrywać także wówczas, kiedy im się nie wiedzie, a ponadto są po prostu sympatycznymi, inteligentnymi młodymi ludźmi, co o niewielu futbolistach dałoby się powiedzieć.

Powrót do Olimpiii?

Brytyjczycy z dotychczasowego przebiegu igrzysk mogą być zadowoleni. Nie było afer dopingowych ani znaczących skandali politycznych, pomijając pomyłkę z flagą Korei Północnej. (Notabene obydwie Koree spisują się w Londynie rewelacyjnie). Gospodarze zdobywają dużo medali, także za sprawą tzw. plastic Brits, czyli sportowców z importu, którym przyznano obywatelstwo. Jak widać, już nie tylko w futbolu są możliwe tego rodzaju transfery. Tuż po półmetku pod względem liczby zdobytych złotych medali prowadzi Stany Zjednoczone, tuż za nimi są Chiny, nowa sportowa potęga. Polacy z dwoma złotymi medalami na 20 miejscu, ex aequo z Jamajką.

Tabele jeszcze mogą się zmienić, ponieważ do rozegrania pozostało wiele konkurencji. Gigantomania to prawdziwa choroba nowoczesnych igrzysk. A za cztery lata w Rio de Janeiro pojawią się kolejne dyscypliny. Najwyższy czas, by jakiś nowy baron Pierre de Coubertin przypomniał, na czym miała polegać idea igrzysk olimpijskich. Pojawił się już zresztą pomysł, by wrócić do klasycznej prostoty i organizować skromne igrzyska zawsze w Grecji, zostawiając różnego rodzaju mądrzącym się ligom i pucharom megawidowiska – czyli pieniądze, reklamy i telewizję. Piękna idea, szkoda tylko, że nierealna.

Dlaczego polski sport przegrał w Londynie – czytaj s. 128.

Napadł mnie popularny portal.
Bez ogródek i na pierwszej stronie.
Brutalnie i niesłusznie. Za co?
Za spodnie. Konkretnie za krótkie
spodnie. Sprawa jest poważna.

Precz z ajatollahami dreskodu!

JACEK ŻAKOWSKI

Zdaniem autorki, która mnie zaatakowała, my, czyli samce rodzaju ludzkiego, mamy brzydkie łydki pokryte ohydnyymi włosami. W dyskusji pod tekstem jedna pani opisała nawet, jak ujrawszy w restauracji samca bez nogawek, niemal dostała mdłości i już nic nie zjadła. Gdy to piszę, strzałka termometru mija 30 stopni. Mamy dość afrykańskie lato. Jak jest taka pogoda, to tłumy kobiet chodzą po Warszawie de facto na golasa. W Teheranie nie mogą. W Kairze nie mogą. W Watykanie nie mogą. A w Warszawie – proszę. W Paryżu, Nowym Jorku, Rio, Moskwie, Szanghaju, Tokio – też mogą. To ich wolność.

Kiedy byłem mały, ta wolność nie była oczywista. Dziś nikt nie potępi Radwańskiej za to, że sobie skróciła spódniczkę od olimpijskiego mundurka. Czterdzieści lat temu w najlepszym razie wybuchłaby awantura. Ale za miniówkę mogłaby też nawet zostać opluta na ulicy. Teraz bohaterkami kultury masowej są kobiety, które się odsłaniają. Od gwiazd mangi w mini-mini-mini, przez „Słoneczny patrol” w bikini, po ministry na wysokich obcasach, w krótkich spódniczkach i głębokich dekoltach. Dla części samców to oczywiście jest problem (dla żyjących w celibacie zwłaszcza), ale każda wolność jest dla kogoś problemem. Musimy sobie z tym radzić.



Dla mnie to jest OK. Nawet bardzo dobrze. Tak trzymać! Nie chodzi o to, że roznegliżowane dziewczyny wyglądają fajnie. Jedne wyglądają fajnie, a drugie fatalnie. Chodzi o to, że czują się dobrze.

Ładni mają lepiej

Świat jest lepszy, gdy ludzie są zluźowani. Czy są zluźowani, widać zaś między innymi po stroju. Bo żeby się zluźowali, muszą afirmować siebie. Nie muszą się w samych sobie kochać, ale muszą się ze sobą pogodzić. Także ze swoim ciałem, gdy nie jest ono najpiękniejsze na świecie. Łatwiej nam się ogólnie zluźować, gdy czujemy się akceptowani w naszej fizyczności, choć nie wyglądamy jak Wenus czy Adonis. W relacjach ściśle prywatnych to ma mniejsze znaczenie. Kobiety i mężczyźni mogą mieć wiele zalet z nawiązką równoważących estetyczne niedoskonałości. Nie będę wymieniał nazwisk, ale są tysiące znanych publicznie dowodów, że brzydka czy brzydula mogą być prywatnie kochani nie mniej niż „najpiękniejsi”, a niechluj może mieć więcej branie niż arbiter elegantiarum.

Problem jest w sferze publicznej. Nie tylko w Polsce. Ale w Polsce bardziej, bo u nas wciąż jest słabo uświadomiony. Chociaż istnieje na ten temat wielka literatura, na czele z wydaną po polsku biblią współczesnego beautyzmu, „Przetrwają najpiękniejsi” autorstwa Nancy Etcoff, profesorki Harvard Medical School.

Wiadomo, że ładni mają generalnie lepiej. Kilka lat temu Warszawa huczała od plotki, że wyrzucając wiceszefa MSZ za drzwi, prezydent krzychał przy ludziach: „cała twoja kariera z tego, że jesteś ładny”. Statystycznie to jest prawdopodobne. Ładni szybciej awansują, częściej dostają podwyżki, łatwiej się im wybacza, towarzysko są zwykle bardziej atrakcyjni i do pewnego poziomu ładności mają większą siłę przekonywania. W zasadzie bez względu na płeć.

Z tego powodu od pracowników pierwszego kontaktu (z okienek, zza lady, z rozmaitych salonów) pracodawcy żądają, by wyglądali ładnie. Jeśli mają mundury, to zwykle są one tak projektowane, by widok był ładny w miarę możliwości bez względu na zawartość. Linie lotnicze są tu bezwzględni królami. Jak załoga idzie przez lotnisko, to kobiety oglądają się za pilotami, a mężczyźni za stewardesami. Albo raczej za ich mundurami, które maskują osoby będące w środku.

W telewizji, banku, urzędzie, dużej korporacji powaga stroju wyraża poważny stosunek pracownika do poważnego statusu instytucji. Garnitur, krawat, buty na skórze są jak mundur żołnierza czy kolejarza. Mówią: jestem trybem maszyny. Nie jestem sobą. Jestem funkcją, którą mi powierzono. W oświacie,

nauce, medycynie też tak było jeszcze kilkadziesiąt lat temu.

Na zachodnich uniwersytetach to się skończyło dokładnie 45 lat temu. Z miesiąca na miesiąc studentów – wkrótce też profesorów – w krawatach zastąpili studenci i profesorowie w swetrach, a później w bluzach od dresu. Znaczyło to, że uczelnie przestały być środowiskiem socjalizującym elity do funkcjonowania w kompetencyjnej hierarchii, a stały się miejscem rozwijania i doskonalenia indywidualistycznego, dążącego przede wszystkim do samorealizowania się, kreatywnego „ja” wyrażanego także stylami konsumpcji – między innymi ubiorem.

Pokolenie '68 przeniosło nową mowę stroju do innych dziedzin życia. Porównajcie wygląd Beatlesów na okładkach „Please, Please Me” i „Let It Be”, czyli ich pierwszej (1963) i ostatniej (1970) płyty. W niespełną dekadę od czarnych krawacików, grzecznych garniturków i grzywek, do włosów po ramiona i kolczyków w uszach. W ciągu tych kilku lat show-biznes przestał być narzędziem kontroli społecznej i stał się zarzewiem twórczego nieładu.

Dwadzieścia lat później fala „wyzwolonego ja” dotarła do gospodarki. Globalni guru biznesu nowej generacji – Gates, Branson, Jobs, Wozniak – wyglądają tak, że dwie dekady wcześniej nie wpuszczono by ich do porządnego klubu. Wszyscy wiedzą, że każdy z nich radzi sobie w biznesie. Ale miliony ludzi sobie radzą. Wyróżnikiem jest nietuzinkowa osobowość produkująca nietuzinkowe pomysły, zewnętrznie wyrażająca się nietuzinkowym wyglądem lub stylem życia.

Cztery wzory na ubiory

Solidność wciąż jest ważna, ale w hegemonicznej narracji kluczem do prawdziwego sukcesu jest wyzwolona z konwencjonalnego myślenia twórcza osobowość. Dzięki temu także polscy przedsiębiorcy (np. Jan Kulczyk) i ważni prezesi (Krzysztof Kilian z PGE, Piotr Niemczycki z Agory, Bruno Valsangiacomo z ITI) mogą dziś, bez straty dla interesów, wyglądać jak Mikołaj Kopernik, impresjonistyczni malarze albo Fryderyk Chopin.

Czterdzieści lat temu nikt by nie powiedział majątku człowiekowi nieostryżonemu i nieogolonemu. Ani nawet biznesmenowi, który, jak Zygmunt Solorz-Żak, przychodzi na przyjęcie w trampkach. I nikt by nie zaufał gazecie, której naczelny (jak Adam Michnik) idzie do prezydenta w sandałach. Dziś przeciwnie. Na szczycie społecznych hierarchii trampki i sandały – podobnie jak długie włosy, sweter, trzydniowy zarost, dzinsy – sugerują niepokorną, twórczą osobowość i wyzwajającą moc pieniądza lub prestiżu pozwalającą na swobodne kreacje, czyli uwolnienie „ja”. W konsumpcji i w pracy. W wielu branżach jest to poszukiwany towar.

Pod względem stroju społeczeństwo podzieliło się z grubsza na **cztery statutowo funkcjonalne grupy**. ● **Jedni** są tak nisko, że ich wygląd nie ma specjalnego znaczenia. Zbyt ciężko walczyć o życie, by się przejmować fryzurą i strojem.

● **Drudzy** są tak wysoko, że nie ma znaczenia, jak się gołą, strzygą, ubierają. Nikt im nie może niczego narzucić. To oni narzucają. ● **Trzecia grupa** jest obok. Dawniej nazywano ją cyganerią. Tworzyli ją artyści i artystyczne dusze żyjące na rubieżach systemu. Dziś „obok” żyje nie tylko większość „klasy kreatywnej”, ale też duża część ludzi biznesu, którzy satysfakcję czerpią nie tyle z zamożności, co z poczucia, że nikt nie może im kazać, sami są sobie szefami, pracują, jak chcą, wyglądają, jak chcą.

● Jest wreszcie **czwarta grupa**: liczne i dwupłciowe plemię zdyscyplinowanych gangowców (od slangowego gang, czyli garnitur) pędzące żywot w korporacyjnych, urzędniczych, służbowych mundurkach i mundurach. Od polityków i urzędników po bankowców i akwizytorów. Czasem trochę mi ich szkoda. Zwłaszcza kiedy, jak teraz, panowie smażą się w krawatach, a panie w rajstopach. Bardzo nie zazdroścuję.

Dreskodowy czwórpdział mówi coś o czasach i społeczeństwie. Zwłaszcza o społecznej dystrybucji osobistej wolności, wyrażanej m.in. kulturowo legitymizowanym stosunkiem do konwensu. W trzech pierwszych grupach wartościami organizującymi są swoboda i indywidualna ekspresja. W czwartej rządzi struktura i dyscyplina. Jeżeli biznes jest podporą systemu, to gangowcy są jego sztywnym kręgosłupem. Jak urzędnicy w Prusach, partyjny aparat w real socjalizmie, armia w Korei Północnej. Kiedy przychodzą upały, gangowcy ze szczerą wdzięcznością snują w telewizjach wrzeszczące historie o dobrych szefach, którzy pozwolili im pracować bez krawatów, a nawet bez marynarek, a paniom bez rajstop.

Popołudniami dwie strony czwórpdziału spotykają się, odbierając dzieci z przedszkola lub robiąc zakupy w galerii. Gangowcy latem przypieczęci, a zimą wymięci. Krawaty rozluźnione. Rozpięte kołnierzyki koszul od garniturów. Poniżej mundurowych garsonków na damskich stopach miejsce szpilek zajmują buty do biegania. Teraz są pół funkcją i pół sobą. Jak mityczne fauny, pół ludzie pół kozły.

Ta sytuacja oddaje podwójną naturę społeczeństw późnej nowoczesności. Z jednej strony trwająca wciąż eksplozja wyzwolonego „ja”, hedonizmu, indywidualizmu otwierającego przestrzeń nieznaną w dziejach, napędzającą wzrost kreatywności. Z drugiej totalitarna struktura współczesnej wielkiej korporacji, stanowiącej podstawę światowej gospodarki. Z trzeciej demokratyczne państwo i jego ►



© CORBIS

Z dwojga złego wolę, aby ludzie trochę świat swoim wyglądem szpecili, niż żeby go psuli frustracjami. Beautyzm wydaje mi się tak samo idiotyczną, niesprawiedliwą, szkodliwą i dysfunkcyjną społecznie formą dyskryminacji, jak seksizm, ageizm, rasizm.

► instytucje, miotane między sprzecznymi gramatykami kultury. Między swawolnym, anarchizującym luzem a dyscypliną potężnych, bezosobowych struktur. Dialektyka tych nurtów stworzyła ekonomiczne i cywilizacyjne sukcesy paru ostatnich dekad.

Kobieta bardziej prywatna

Z grubsza w tym miejscu pojawia się problem krótkich spodni. Konkretnie męskich krótkich spodni. Bo kobiety w ramach emancypacji wywalczyły so-

bie prawo do kusych strojów. Ładne czy brzydkie – z kilkucentymetrowymi wyjątkami mogą publicznie odsłaniać, co chcą. Nikt poza betonem konserwy już nie śmie się na to oburzać. Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś mężczyzna odważył się dziś skrytykować głębokie dekolty i krótkie szorty czy spódnice kobiet, pisząc o odrażającym, nieapetycznym widoku tłustych, spoconych ud oraz ramion albo obwisłych biustów, ledwie zakrytych koszulkami na symbolicznych ramiączkach. Feministki i feminiści daliby takiemu do wiatu. I słusznie. Tylko korporacja może

dziś bezkarnie wtrącać się do kobiecego stroju. O nas można wszystko bezkarnie powiedzieć i napisać. My, mężczyźni, zostaliśmy w tyle. Ale właściwie dlaczego?

Na pewno ma coś do rzeczy to, że kobiety z dobrych historycznych powodów zyskały status społecznej mniejszości w nowoczesnym świecie, kulturowo chronionej przed przemocą (także symboliczną) męskiej, rządzącej od pradawną „większości”. Ale większe znaczenie ma chyba dialektyka późnej nowoczesności, rozpiętej między coraz bardziej swobodnym „ja” a coraz bardziej total-

ną strukturą, między ekspresją a dyscypliną, między publiczno-formalnym a prywatno-wyzwolonym.

W tradycyjnej kulturze kobieta należała do sfery prywatnej, a mężczyzna do sfery publicznej. Kobieta to był dom, a mężczyzna – świat. Nominalnie ten podział został na Zachodzie zakwestionowany, ale z tyłu głowy siedzi. To sprawia, że w dialektyce współczesnej kultury kobieta w większym stopniu należy do porządku uwolnionego „ja”, a mężczyzna do porządku formalnej struktury. Kobieta może bardziej być sobą, a mężczyzna musi bardziej być funkcją.

Chłopaki nie płaczą. Chłopaki się nie pocą. Chłopaki nie mają nóg. Mają nogawki z nieznaną zawartością. Ramion też chłopaki nie mają. W miejscu, gdzie kuse ramiączka odsłaniają kobiecie ramiona, prawdziwe chłopaki mają grzbiet koszuli, a lepiej marynarki. I ewentualnie także epolety. Tam, gdzie kobieta ma dekolt, chłopaki mają krawat, a przynajmniej ściśle zapiętą koszulę albo sięgającą szyi podkoszulkę. Tam, gdzie kobieta ma ozdobione sandałkami stopy, my – bez względu na temperaturę – mamy skarpetki i skórzane buty.

Na straży tej genderowej różnicy (jednej z ostatnich w porządku kultury) stoi potężne, ponadideologiczne tabu. Feministki raz tylko zawarły sojusz z moherem. Była to koalicja uśmieszków i chrząknięć, gdy Wojciech Olejniczak sfotografował się w nie dość wysoko zapiętej koszuli, spod której wystawał fragment owłosionego torsu. Rozumiem, że owłosione torsy, łydki, ramiona itp. mogą się komuś nie podobać. Ale nie wyobrażam sobie podobnych reakcji, gdyby w seksualizującej sesji wystąpiła kobieta. Nawet jeżeli jakiś fragment jej ciała też mógłby się komuś nie podobać. Nie wierzę w realność idealnej równości. Także między płciami. Ale ta akurat nierówność wydaje mi się idiotyczna. Bo kompletnie niczemu nie służy.

Prawo do sandałów

Nie marzę o świecie, w którym wszyscy będą piękni lub zamaskowani (ukryci w piwnicy, zakwefieni). Nie cierpię reklam sugerujących, że przyszczeni nie powinni zdejmować motocyklowych kasków, człowiek z fałdą tuszczu powinien przed wyjściem na plażę przejść odchudzającą kurację, a żona znów pokocha łysogo, pod warunkiem, że zrobi on sobie implant owłosienia lub użyje cudownego szamponu, który sprawi, że mu łysa czaszka porośnie lwią grzywą.

Jeżeli o jakimś świecie marzę, to raczej o takim, w którym ludzie możliwie dobrze się czują, a niekoniecznie dobrze wyglądają. Oczywiście, w ładnym otoczeniu żyje się przyjemniej, a ludzie są częścią naszego otoczenia. Jestem szczerze wdzięczny tym wszystkim, którzy – często dużym wysiłkiem – je zdołają. Ale – bez wzglę-

du na wzorce piękna – jako wyjątkowo zróżnicowany gatunek nigdy nie będziemy świata naszym wyglądem wyłącznie upiększali. I, żeby się bez sensu nie stresować, nie powinniśmy czuć się w tej sprawie nadmiernie zobowiązani.

Z dwojga złego wolę, aby ludzie trochę świat swoim wyglądem szpecili, niż żeby go psuli frustracjami. Beautyzm wydaje mi się tak samo idiotyczną, niesprawiedliwą, szkodliwą i dysfunkcyjną społecznie formą dyskryminacji, jak seksizm, ageizm, rasizm.

Dlatego nie ustąpię. Nie cofnę się o krok. Prawa do krótkich spodni, san-

dałów, życia bez krawata będę bronił jak niepodległości. Nie mam łydek ani piersi jak Natalia Siwiec. Nawet depilacja dużo mi nie pomoże. Zdażyłem się z tym pogodzić. Ale czy to wystarczający powód, żebym latem, wychodząc prywatnie do sklepu, smażył się jak bogobojna Iranka pod czujnym okiem ajatollahów miejskiego dreskodu?

JACEK ŻAKOWSKI

O ubiorze pałacowym i festiwalowym piszemy na s. 105.

Do dyskusji o dreskodzie zapraszamy na:

WWW.POLITYKA.PL/DEBATA

REKLAMA

ZASMAKUJ ZWYCIĘSTWA

10 x
unikatowy medal
ze złota, każdy
o wartości ok. 12 000 zł

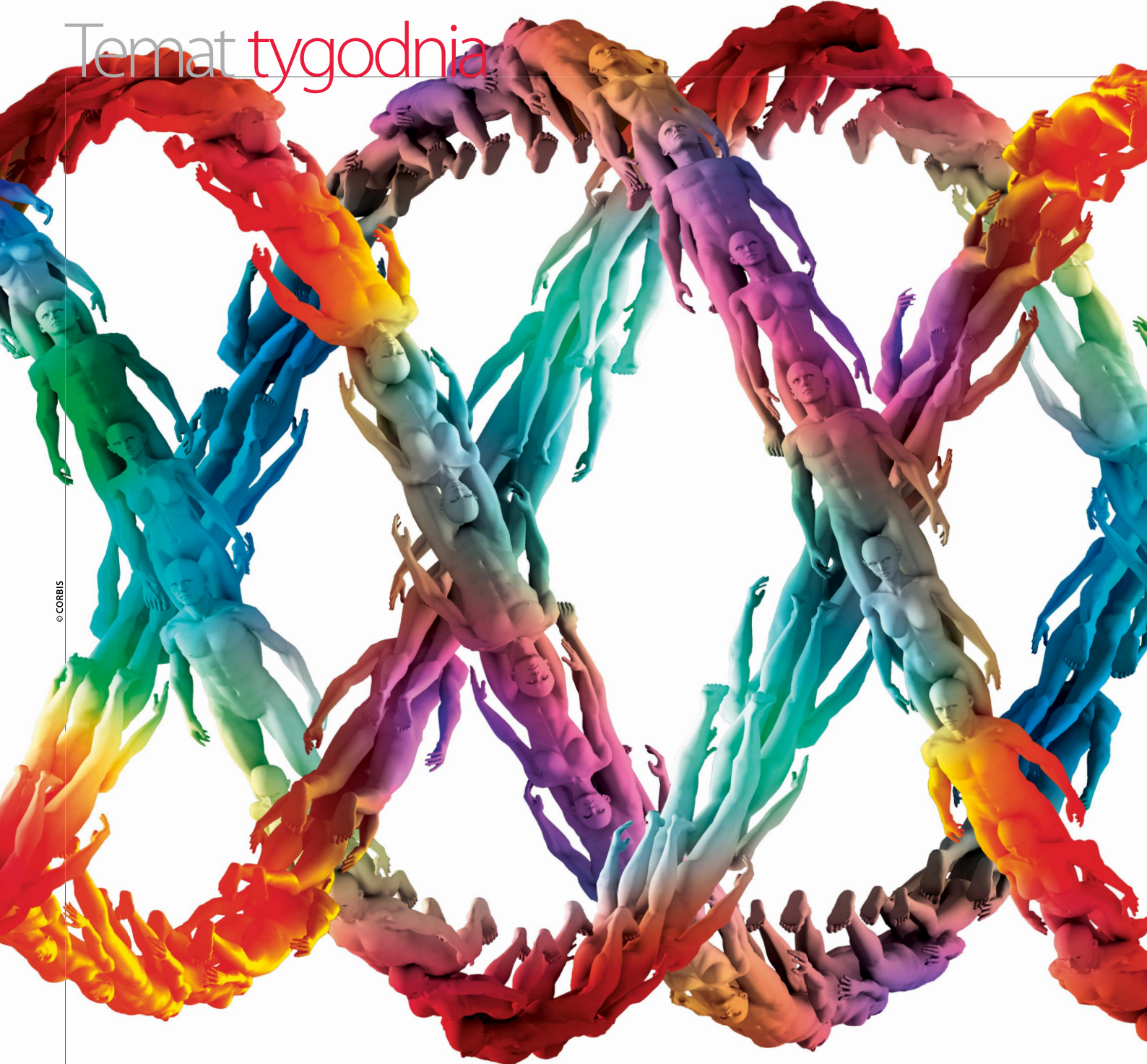
100 x
Samsung
Galaxy S III

250 mln
gwarantowanych
punktów **VITAY CLUB**

WYSTARTUJ PO NAGRODY
Zasmakuj zwycięstwa w Stop Cafe i Stop Cafe BISTRO
W tej promocji zwycięża każdy!

stop cafe ORLEN stop cafe BISTRO

Szczegóły promocji na wybranych stacjach ORLEN oraz na www.stopcafe.pl



© CORBIS

Sięgnąć DNA

Badania DNA człowieka dotyczą najbardziej intymnych sfer jego życia. W Polsce może je zrobić każdy każdemu. Potajemnie. I wykorzystać w dowolnym celu – najczęściej w procesach o ustalenie lub zaprzeczenie ojcostwa.

BIANKA MIKOŁAJEWSKA

W młodszej o dwa lata Ewie Paweł* podkochiwał się już w liceum. Ona zwróciła na niego uwagę, gdy kończył ekonomię. Parę spotkań u niej i była w ciąży. Wzięli ślub, a pięć miesięcy później urodziła się Marysia. Paweł oszalał na punkcie dziecka. Ale z Ewą się nie układało. W czwartą rocznicę ślubu sąd orzekł rozwód. Ewa twierdziła, że z jego winy – bo związał się z inną. Nie pozwalała mu spotykać się z Marysią. Gdy wystąpił do sądu o ustalenie zasad kontaktów z córką, odpowiedziała wnioskiem do prokuratury: niech śledczy złożą w sądzie pozew o zaprzeczenie ojcostwa Pawła S., bo nie on jest ojcem



Marysi. Dołączyła przeprowadzoną przez prywatne laboratorium analizę DNA jego i córki, z której wynikało, że nie łączy ich pokrewieństwo.

Paweł nie wierzył: jego ukochana córeczka nie jest jego? Skąd Ewa wzięła próbkę do zbadania DNA? Sąd orzekł, że nie jest tatą prawie pięcioletniej wówczas Marysi. Ewa nie ujawniła, kto nim jest. Po rozstaniu z Pawłem szybko znów wyszła za mąż, a nowy mąż przysposobił Marysię. Paweł martwi się: co będzie, jeśli biologiczny ojciec dziewczynki, który mógł dotąd nie wiedzieć, że ma dziecko, skojarzy fakty, zrobi potajemnie badania DNA i upomni się o nią? Czy malutka to wytrzyma?

truDNA ochrona

Ochrona dobra dziecka jest najważniejszą zasadą polskiego prawa rodzinnego. To dlatego czas, w którym rodzice mogą wystąpić do sądu z pozwem o zaprzeczenie ojcostwa, jest ograniczony. Matka ma na to pół roku od urodzenia dziecka, jej mąż – pół roku od dnia, w którym dowiedział się o narodzinach. Jeśli to, że dziecko jest z nieprawego łoża wyjdzie na jaw po upływie tych terminów, rodzice mogą zwrócić się do prokuratury, by ona złożyła pozew. Śledczy powinni jednak odmówić wniesienia sprawy (a jeżeli zostanie wniesiona, sąd powinien ją odrzucić), jeśli godzi ona w dobro dziecka.

W 2007 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że wprowadzić dobrze jest, gdy dziecko wychowuje się pod opieką osób, z którymi łączy je więzy krwi, ale nie można dążyć do takiego stanu za wszelką cenę. Dla prawidłowego rozwoju psychicznego i budowy tożsamości dziecka ważna jest bowiem przede wszystkim stabilność więzi z bliskimi mu osobami. W sprawach o zaprzeczenie ojcostwa sąd musi więc rozważyć, czy dociekając prawdy biologicznej, nie zaszkodzi dziecku. – *Jeśli kobieta rozwodząc się z mężem przypomina sobie nagle, że nie jest on ojcem dziecka i nie ujawnia, kto nim jest, a równocześnie mąż kocha dziecko i dba o nie, sąd powinien oddalić pozew* – twierdzi znany adwokat z Trójmiasta, gdzie rozegrała się historia Ewy i Pawła.

W trakcie procesu sąd może zlecić przeprowadzenie testów DNA rodziców i dziecka. – *Niektórzy prawnicy uważają, że badania genetyczne można robić bez zgody osób, których one dotyczą, bo nie naruszają ich nietykalności cielesnej – wystarczy pobrać ślinę. Sąd Najwyższy uznał jednak inaczej* – mówi sędzia Robert Zegadło, członek Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Cywilnego przy Ministerstwie Sprawiedliwości. W orzeczeniu z 2007 r. SN podkreślił, że informacje o kodzie genetycznym człowieka mają „ściśle osobisty” charakter, podlegają więc konstytucyjnej ochronie. Pisał: „Nie można przyjąć, aby do pobrania jakiegokolwiek materiału indywidualizującego genotyp mogło dojść bez zgody osoby, której badanie dotyczy, tylko dlatego, że pobranie próbek materiału jest mniej inwazyjne niż w wypadku badania krwi”.

Inaczej jest z badaniami DNA dzieci. – *Zgodnie z kodeksem rodzinnym, we wszystkich ważnych dla dziecka sprawach rodzice wspólnie podejmują decyzję. Jeśli jedno chce badań, a drugie się nie godzi, rozstrzyga sąd opiekuńczy* – wyjaśnia sędzia Zegadło.

W badaniu sądowym pobranie próbek od rodziców i dziecka odbywa się w jednym czasie w obecności biegłego

sądowego. Przedtem rodzice muszą się wylegitymować, potwierdzić tożsamość dziecka i podpisać zgodę na przeprowadzenie testu.

Teoretycznie więc w postępowaniach o zaprzeczenie ojcostwa dobro dziecka i prywatność rodziców są chronione (podobnie w sprawach o ustalenie ojcostwa i o cofnięcie uznania dziecka urodzonego poza małżeństwem). Według prof. Tadeusza Dobosza z Katedry Medycyny Sądowej Akademii Medycznej we Wrocławiu, od ponad dekady ta ochrona w praktyce nie działa. Do 2001 r. testy na ojcostwo robiły głównie placówki publiczne. Stosowana wówczas metoda badania wymagała pobrania krwi od dziecka i obojga rodziców. Przeprowadzenie testów bez wiedzy któregoś z nich było praktycznie niewykonalne. – *Gdy opracowano metody badań na podstawie próbek śliny i mikroskładów – w dodatku pobranych tylko od ojca i dziecka – jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać firmy oferujące prywatne testy. Nie weryfikują tożsamości zleciiodawców i nie wymagają zgody obojga rodziców na badanie DNA dziecka. Każdy może pobrać potajemnie próbki od dowolnych osób i wysłać do ekspertyzy. Najdziwniejsze jest jednak to, że sporządzane z pogwałceniem prawa badania są wykorzystywane w prokuraturze i sądach* – mówi prof. Dobosz.

Na propagującym testy na ojcostwo portalu pewnytato.pl adwokat Jacek Buss radzi tym, którzy zamierzają wystąpić do prokuratury w sprawie o zaprzeczenie ojcostwa, by do wniosku dołączyli prywatne badania DNA, które „niewątpliwie pomogą przekonać prokuraturę o potrzebie wytoczenia stosownego powództwa”.

Adwokat Marcin Mastalerz przekonuje, że prywatna ekspertyza przyda się również w sądzie: „Przedłożenie wyniku testów DNA przeprowadzonych przez prywatną firmę z pewnością nie zostanie przez sąd pominięte. Badanie to (...) faktycznie uniemożliwia skuteczne podjęcie polemiki przez stronę przeciwną procesowi. Daje także niezbity argument do przeprowadzenia takiego dowodu w dalszym postępowaniu sądowym”. Słowem: analiza zrobiona „na dziko” zmusza sąd do przeprowadzenia oficjalnych badań i de facto przesądza o losach sprawy.

Prywatne testy DNA prawnicy doradzają również w sprawach rozwodowych, o alimenty, o uznanie ojcostwa oraz o unieważnienie uznania dziecka urodzonego poza małżeństwem.

jeDNAk cudza

Marek, bokser i trener w jednym z częstochowskich klubów, wątpliwości w sprawie swojego ojcostwa miał już ►

► wtedy, gdy okazało się, że jego partnerka jest w ciąży. Skąd dziecko, skoro się zabezpieczali? Gdy zapytał Beatę, czy na pewno on jest ojcem, zrobiła mu awanturę. Ołę uznał formalnie za swoje dziecko.

Wątpliwości wróciły po rozstaniu z Beatą. Rodzina i znajomi powtarzali, że córka w ogóle nie jest do niego podobna. W mediach wciąż natykał się na historie ojców, którzy po kilku latach dowiadawali się, że wychowują cudze dzieci. W końcu kolega odpowiedział: zrób badania DNA, będziesz miał pewność.

W Internecie znalazł coś w sam raz dla siebie: bydgoska firma oferowała testy pozwalające zbadać ojcostwo na podstawie próbek od ojca i dziecka, bez udziału matki. Według konsultantów firmy, na badanie DNA Oli nie musiał mieć zgody Beaty.

Za tysiąc złotych przysłali mu pocztą patyczki przypominające te do czyszczenia uszu i specjalną kopertę, w której miał odesłać próbki. – *Ola była u mnie w weekend. Wziąłem ją na kolana, pogrzebałem patyczkiem w buzi, od wewnątrz policzka. Miała wtedy dwa i pół roczku, myślała, że to zabawa* – wspomina. Próbkę opisał zgodnie z instrukcją: „domniemany ojciec” i „dziecko”. Wkrótce przyszła ekspertyza: osoba, której próbkę opisano jako „domniemany ojciec”, nie może być ojcem osoby, której próbkę opisano jako „dziecko”. Dołączył ją do złożonego w prokuraturze wniosku o cofnięcie uznania ojcostwa. Prokurator początkowo miała wątpliwości, ale w końcu zarządziła oficjalne badania DNA; potwierdziły poprzednie wyniki. Sąd orzekł, że Marek nie jest ojcem Oli. Inny skład uznał jednak, że zwrot kosztów, które poniósł na jej utrzymanie, mu się nie należy: od początku przypuszczał, że dziecko nie jest jego, dopóki żył z jego matką, godził się z tym, nie może więc zgłaszać pretensji.

Powszechność takich sytuacji (same firmy wykonujące badania DNA oceniają, że rocznie w Polsce robi się co najmniej kilkanaście tysięcy testów na ojcostwo) poruszyła posła Tomasza Lenza z PO. „Informacje genetyczne bezsprzecznie mogą wpływać na losy wielu osób, decydować o życiu i dokonywanych wyborach. (...) nikt zdaje się nie zastanawiać nad dzieckiem, któremu anonimowym testem może zostać zrujnowane życie” – pisał niedawno w interpelacji do ministra sprawiedliwości.

Wiceszef resortu Grzegorz Wałęjko odpowiedział, że podziela obawy posła „co do możliwych naruszeń praw człowieka” wynikających z tego, że w polskim prawie nie ma przepisów regulujących zagadnienia bioetyczne, a zwłaszcza działalność firm oferujących prywatne badania DNA.

niejeDNA specjalność

Każdy, kto w wyszukiwarce internetowej szuka „testów na ojcostwo”, musi tu trafić.

„Tylko u nas kupisz test DNA na ustalenie ojcostwa za jedyne 559 zł” – przekonuje portal testynaojcostwo.eu. I od razu wyjaśnia, skąd cena o połowę niższa od średniej na tym rynku: „Testy wykonywane są w naszych laboratoriach w Wielkiej Brytanii oraz USA. (...) Wiele nowoczesnych urządzeń, maszyn i nowinek naukowych jest tam znacznie tańszych, przez co badania wykonywane przy ich użyciu mogą również być tańsze”.

Prof. Tadeusz Dobosz jest zaskoczony: – *Taniej jest może na Ukrainie czy Białorusi, ale tamtejsze laboratoria nie są zbyt nowoczesne. Na Zachodzie testy są znacznie droższe niż u nas. Oczywiście, można zbić cenę kosztem jakości badań.*

Klient, który kupi testy DNA za pośrednictwem testynaojcostwo.eu, wyniki otrzyma po angielsku. „Jeśli ich nie rozumiesz (choć wynik jest bardzo czytelny), skontaktuj się z nami, a my je przetłumaczymy. Możesz również skonsultować się z dowolnym lekarzem genetykiem w celu bardziej szczegółowej analizy wyników” – proponuje portal, zamieszczając krótki słowniczek: „mother” – matka, „father” – ojciec, „child” – dziecko itd. – *Wiele osób ma problemy ze zrozumieniem wyników badań DNA opisanych po polsku, a co dopiero w językach obcych* – irytuje się prof. Dobosz.

Portal testynaojcostwo.eu należy do Witolda Skrzypiciela, prowadzącego działalność gospodarczą pod szyldem Polish Industry Witold Skrzypiciel. Głównym przedmiotem działalności firmy jest pośrednictwo w obrocie nieruchomościami, zawieraniu umów ubezpieczeń, kredytów i zakupów ratalnych (klienci portalu testynaojcostwo.eu mogą kupić badania na raty).

swoboDNA działalność

Na działalność takich firm jak Polish Industry, które nie mając fachowej kadry ani zaplecza naukowego, opanowują rynek genetyczny, zwracał niedawno uwagę prof. Michał Witt, członek zarządu Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka. „Prerażające jest, że można dziś w Polsce oferować dowolne testy genetyczne w dowolnym zakresie, również dotyczące dowolnie wybranych chorób genetycznych, tylko na zasadzie zgłoszenia działalności gospodarczej” – mówił.

Firmy zlecające wykonanie badań DNA zagranicznym lub polskim laboratoriom nie muszą mieć żadnych pozwoleń na działalność i nie podlegają kontrolom. – *Mogłyby nawet ustalać wynik rzucając monetą, nikogo to nie obchodzi* – wzdycha prof. Dobosz.

Większość pośredników nie ujawnia, gdzie robione są badania. Zapewniają tylko na stronach internetowych, że są to laboratoria „renomowane” albo „cieszące się uznaniem”. Na dowód publikują przyznane im międzynarodowe certyfikaty. Według prof. Ryszarda Pawłowskiego z gdańskiej Akademii Medycznej, często obnażają one niekompetencję badaczy. W kwartalniku naukowym Zakładu Genetyki Molekularnej i Sądowej UMK w Toruniu profesor podaje przykład firmy, która chwali się „unikalnym w Polsce certyfikatem analizy sekwencyjnej mitochondrialnego DNA”. Z dokumentu wynika, że laboratorium podczas badań akredytacyjnych opisało poprawnie za ledwie cztery z sześciu próbek. Dobitniej mówiąc: co trzeci wynik był błędny (!). Ale język naukowych certyfikatów mało kto rozumie.

Niewiele lepiej sytuacja wygląda w przypadku firm, które mają własne laboratoria, są więc elitą na genetycznym rynku. W kwartalniku UMK naukowcy opisują przypadki, w których stwierdzono czyjeś ojcostwo, mimo że nie był on ojcem; gdy przebadany dwukrotnie w tym samym laboratorium materiał dawał za każdym razem inny wynik; gdy zleceniodawca jako próbki swojego partnera lub dziecka oddawał do ekspertyzy zupełnie inny materiał i potem wynikami badań posługiwał się w sprawach sądowych.

Najwięcej nieprawidłowości związanych jest z testami anonimowymi, gdy klient nie tylko nie przedstawia zgody partnera na badanie, ale również nie podaje danych swoich i dziecka. Robią je nawet najbardziej renomowane firmy. Krakowska Pracownia Identyfikacji Genetycznej BioTe21 na swoim portalu pisze, że czasami ze względów rodzinnych lub ze wstydu niektórzy, zlecając badania na ojcostwo, nie chcą się ujawniać. W formularzu zamówienia mogą wówczas wpisać *nicki* (pseudonimy). Inne firmy zalecają podpisywać próbki: „domniemany ojciec” i „dziecko”.

Według wiceministra sprawiedliwości Grzegorza Wałęjki, jedyną regulacją, która jakoś ogranicza działalność firm oferujących prywatne testy DNA, jest ustawa o ochronie danych osobowych. Zgodnie z nią tzw. wrażliwe dane (do których należą wyniki badań genetycznych) gromadzić można wyłącznie za zgodą osoby, której one dotyczą. Ale firmy genetyczne, jeżeli w ogóle wymagają od klientów podpisania zgody na badania i przetwarzanie danych, nie sprawdzają, czy podali prawdziwe informacje. „Gdyby weryfikowano deklaracje ojców, czym ta usługa różniłaby się od badania dla celów sądowych?” – pytał kiedyś w mediach Marcin Jaworek, współnik firmy test DNA, jednej z największych na genetycznym rynku.

Dziś na niekontrolowanym stosowaniu testów genetycznych najbardziej cierpią dzieci, ale łatwo sobie wyobrazić, że niebawem to dzieci mogą sprawdzać ojcostwo i „matczyństwo” rodziców.



© CORBIS

Firmy wykonujące badania anonimowe w ogóle nie zawierają sobie głowy zgodami. Nie gromadzą przecież danych osobowych, tylko anonimowe profile DNA. Co z tego, że można je bez problemu połączyć z danymi korespondencyjnymi zlecających?

kiDNAperzy

Jesienią ubiegłego roku 15-letniego Radka z Milejowa na Lubelszczyźnie zatrzymało w parku dwóch mężczyzn podających się za policjantów. Zarzucili mu handel narkotykami. Powiedzieli, że skierują sprawę do sądu – chyba że chłopak pozwoli się zbadać. Pobraли od niego wymaz z ust i próbkę krwi z palca. Gdy matka chłopca zgłosiła się z pretensjami na policję, okazało się, że w parku nie było żadnych funkcjonariuszy. Po okolicy poszła plotka, że szajka polująca na ludzkie organy badała, czy Radek nadaje się na dawcę. Ludzie bali się wypuszczać z domu dzieci. Wkrótce potem do miejscowej prokuratury zgłosił się ojciec Radka – Krzysztof F. Od lat mieszkał za granicą i płacił alimenty na utrzymanie syna. Chciał, by śledczy wniesli pozew o zaprzeczenie jego ojcostwa. Przedstawił prywatną ekspertyzę DNA. Twierdził, że materiał do badań pochodził ze szczoteczki do zębów syna. Śledczy ustalili jednak, że zdobycie próbek zlecił jednej z lubelskich agencji detektywistycznych. To jej pracownicy pobrali ślinę i krew od Radka. Krzysztof Szaruga z konkurencyjnej Agencji Detektywistycznej Detektyw 24 w Lublinie: – *Stosowanie takich metod jest nielegalne. Ale prawo pozwala na gromadzenie materiału do badań DNA podczas obserwacji.*

Większość firm wykonujących prywatne testy na ojcostwo, poza standardowymi badaniami na podstawie próbek śliny, oferuje ekspertyzy z mikrośladów. Na życzenie klienta (za dodatkową opła-

tą) mogą wyizolować DNA z używanej szczoteczki do zębów lub chusteczki higienicznej, smoczka, niedopałka papierosa, bielizny, włosa z cebulką. – *Jeśli kobieta chce zrobić badania DNA swojego byłego partnera, a nie ma dostępu do jego rzeczy osobistych, albo jeśli ojciec nie może pobrać materiału od dziecka, bo matka ogranicza ich kontakty, zwracają się do nas* – mówi Krzysztof Szaruga. – *Chodzimy dyskretnie za dzieckiem. Obserwujemy: może rzuci gdzieś wyżutą gumę albo butelkę po napoju, zgubi chusteczkę do nosa. Cena takiej usługi zależy od tego, ile dni detektywi prowadzą obserwację. Zwykle wychodzi około 5 tys. zł. W pakiecie jest badanie DNA przeprowadzane przez współpracującą z agencją laboratorium. Dokumentację klient składa jako dowód w sprawie o zaprzeczenie lub ustalenie ojcostwa. Detektywi są świadkami w prokuraturze i sądzie. – Potwierdzamy, że materiał do badań pobrano od właściwej osoby. Nie spotkałem się z sytuacją, żeby prokuratura czy sąd nie uznały naszych dowodów, żeby ktoś powtarzał czy poprawiał po nas czynności* – przekonuje Szaruga.

niezbęDNA zmiana

Dziś na niekontrolowanym stosowaniu testów genetycznych najbardziej cierpią dzieci. Ale może to obrócić się niebawem również przeciw rodzicom. Prawo pozwala im na zachowanie w tajemnicy informacji, że dziecko zostało adoptowane albo poczęte in vitro przy użyciu nasienia anonimowego dawcy. Większość rodziców nie chce, by dziecko o tym wiedziało. Biorąc pod uwagę spadające ceny testów DNA i ich dostępność, łatwo sobie wyobrazić, że niebawem to dzieci mogą sprawdzać ojcostwo i „matczyństwo” rodziców.

Badania genetyczne pozwalają sięgnąć także do innych intymnych sfer życia człowieka. Firmy wykonujące prywatne badania DNA oferują „testy na zdradę”, pozwalające ustalić, czy np. włos znaleziony w łóżku małżonków należy do któregoś z nich, a jeśli nie – ustalić profil osoby, która go zostawiła.

W niektórych firmach zamówić można „testy prognostyczne”, oceniające ryzyko zachorowania na raka i choroby serca. Tak jak przy testach na ojcostwo, klient wysyła pocztą próbkę i pocztą lub mailem otrzymuje wynik. Nikt nie sprawdza, czy próbka pochodzi od osoby zlecającej badanie. „Testy te mogą służyć nie tylko ewentualnej prewencji czy leczeniu dawcy materiału genetycznego, lecz także choćby do przetestowania pracowników, którzy przy redukcji zatrudnienia powinni w pierwszej kolejności (...) zostać zwolnieni” – pisał w swojej interpelacji poseł Tomasz Lenz. Informacje o ryzyku zachorowania na rozmaite choroby mogłyby przydać się również bankom udzielającym długoterminowych kredytów. Firmom ubezpieczeniowym polskie przepisy zabraniają wykonywania i zdobywania badań genetycznych osób ubezpieczonych i chcących się ubezpieczyć, ale gdyby branża poszła w takim kierunku jak w USA (czyli ogromnych kwot ubezpieczeń i odszkodowań), mogłoby dojść do potajemnych badań klienta. W Stanach Zjednoczonych takie sytuacje już się zdarzały.

Nie można oczywiście zakazać całkowicie wykonywania badań DNA, także ustalających ojcostwo. Trudno odmówić mężczyznom prawa do wiedzy, czy są naprawdę ojcami, a kobietom choćby prawa do walki o alimenty na dzieci. Ale w Niemczech kilka lat temu trybunał konstytucyjny uznał, że testy wykonywane w tajemnicy przed osobą, której dotyczą, naruszają konstytucyjne prawo do prywatności i nie mogą być wykorzystywane w procesach sądowych. Od 2009 r. wykonanie takich badań jest przestępstwem. Podobnie we Francji. W Szwecji badania DNA stanowiące dowód w sprawach prowadzi jedna państwowa placówka.

Założenia do projektu ustawy, która mogłaby uregulować sprawę, opracował Zespół ds. Molekularnych Badań Genetycznych i Biobankowania przy Ministerstwie Nauki: analizy genetyczne powinny być wykonywane tylko przez podmioty mające odpowiednią akredytację; badania określające pokrewieństwo – tylko za zgodą osoby, której materiał ma być poddany badaniu; pracodawca, ubezpieczyciel i bank nie mogą żądać badań DNA.

Wszystko wskazuje jednak na to, że projekt ustawy trafi do szuflady, razem ze wszystkimi innymi dotyczącymi zagadnień bioetycznych. Naukowcy zastanawiają się, czy, żeby ktoś z tym zrobił porządek, poziom badań genetycznych w Polsce musi sięgnąć dna.

BIANKA MIKOŁAJEWSKA

* Imiona rodziców występujących w tekście zostały zmienione.

WŁADZA LUDU, WŁADZA LUDZI

Wiele wskazuje, że demokracja w dobrze nam znanym kształcie nie potrwa długo. Co ją zastąpi?



© MARY EVANS/EAST NEWS

ADAM KRZEMIŃSKI

Demokracje nie są wieczne. W 1941 r. na świecie było zaledwie 11 państw rządzonych demokratycznie; w Europie cztery – Szwajcaria, Wielka Brytania, Szwecja, Irlandia. Ale już pół wieku później – w wyniku demokratycznej rewolucji 1989 r. – tylko kilka państw bałkańskich było w Europie rządzonych autorytarnie.

Trudno przewidzieć stan rzeczy za 50 lat. Zapewne przyszły ustrój niezbyt będzie przypominać tę demokrację, która w zimnej wojnie zwyciężyła z radzieckim totalitaryzmem. Australijski politolog John Keane w pasjonującej pracy „Życie i śmierć demokracji” pokazuje zresztą, że wiele naszych potocznych wyobrażeń o dziejach demokracji nie jest wartych

Nie jest prawdą, że demokracja bezpośrednia jest wynalazkiem Zachodu. Demokracja ateńska była darem Orientu – twierdzi politolog John Keane.

Na ilustracji: XIX-wieczna rekonstrukcja ateńskiej Agory

funta kłaków. Nie jest na przykład prawdą, że jej starożytnych początków trzeba szukać w Atenach, a nowożytnych w Wielkiej Brytanii. To tylko europocentryczny mit.

Po odczytaniu pisma linearnego B okazało się, że pojęcia *damos* i *damokoi* znano już tysiąc lat przed Atenami w kulturze mykeńskiej. A duński archeolog Thorkild Jacobsen znalazł dowody na jeszcze wcześniejsze zgromadzenia ludowe na terenie

dzisiejszej Syrii, Iraku i Iranu. Nie jest więc prawdą, że demokracja bezpośrednia jest wynalazkiem Zachodu. „Demokracja ateńska była darem Orientu” – twierdzi Keane. Nie tylko w Mezopotamii głosowano kwestie wojny i pokoju, karania przestępców i ustalania podatków poprzez wrzucanie kamyków do glinianych naczyń. Również w zachodnich rejonach Indii. To Fenicjanie przynieśli tę formę demokracji bezpośredniej w rejony Morza Śródziemnego.

Od renesansu Europejczycy są wpatrzeni w linearny rozwój swych państwowości. Od greckich państw-miast, poprzez rzymską republikę, potem Imperium Romanum, a następnie – chrześcijańskie królestwa i republiki miejskie, po państwa narodowe i demokracje przedstawicielskie XIX i XX w. Według Australijczyka to wszystko furda, ponieważ również w Afryce znano elementy demokracji bezpośredniej. A pierwszy przejaw nowożytnej demokracji przedstawicielskiej pojawia się w Europie wcale nie wraz z angielską Wielką Kartą z 1215 r., lecz w hiszpańskim mieście León w 1188 r. Kortezy – przedstawicielstwo szlachty, kleru i patrycjatu miejskiego, zwołane przez Alfonsa IX w celu uchwalenia wojny z muzułmanami – były naśladownictwem podobnych instytucji muzułmańskich.

Wbrew naszym dzisiejszym opiniom o niezdolności muzułmanów do demokracji, meczet był nie tylko miejscem modlitwy, ale także politycznych dysput. W pierwszych czterech wiekach islamu muzułmanie stworzyli formy życia obywatelskiego, z którego mogą być dumni. Na dzieje demokracji składa się także germański *thing*, słowiańskie gminowładztwo, polsko-litewska demokracja szlachecka, holenderskie stany, ale również samorząd w Urugwaju w XIX w. Czas odwrócić perspektywę – powtarza z naciskiem Keane. Demokracja nie jest zachodnim wynalazkiem. Zamachy wojskowe w Ameryce Łacińskiej nie były dowodem, że Latynosi nie potrafili zbudować tego, co funkcjonowało w Europie. To raczej obalenie latynoskich demokracji przez kolejnych *caudillos* wskazywało drogę Mussoliniemu, Stalinowi czy Hitlerowi.

Od końca XVIII w. demokracja przedstawicielska uchodzi za bardziej dojrzałą niż demokracja bezpośrednia. Jakkolwiek zarówno w czasie rewolucji amerykańskiej, jak i francuskiej sięgano do niej choćby poprzez referenda konstytucyjne. Parlamenty, zgromadzenia ustawodawcze, wolność słowa, bezpieczeństwo prawne – te wszystkie elementy pojawiały się w różnych częściach świata na długo przed czasami nowożytnymi, nie tworzyły jeszcze demokracji, ale były ważnym doświadczeniem w dziejach jej powstawania.

Historia jednak – wbrew teom Marksa czy Fukuyamy – nie rozwija się linearnie, zgodnie z zasadami postępu. Dzieje nie znają żadnej teleologii. Nie ma świeckiego planu zbawienia poprzez stworzenie naukowego socjalizmu czy globalne zwycięstwo liberalizmu. Wzloty i upadki demokracji to proces chaotyczny, niezaplanowany. Demokracje umierają, ale też odradzają się w nowej formie.



Nowożytna demokracja przedstawicielska pojawia się w Europie w hiszpańskim mieście León w 1188 r. za sprawą Kortezów – przedstawicielstwa szlachty, kleru i patrycjatu.

Na ilustracji: **pierwsze posiedzenie Kortezów, rycina z XV w.**

lok adalats, lokalne sądy doraźnie i polubownie rozwiązujące spory religijne, a nawet majątkowe. Można amerykańską Partię Herbacianą, naszych fundamentalistów pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu, berlińską Partię Piratów nazwać demokratycznym folklorem. Ale czy jest nim ruch Oburzonych w Grecji i Madrycie, czy jest nim Attac (Obywatelska Inicjatywa Opodatkowania Obrotu Kapitałowego), a u nas Ruch Palikota? W końcu to nie parlamenty i partie, a oddolny ruch protestu dał impuls do zablokowania ACTA.

Kończy się era demokracji przedstawicielskiej w terytorialnym państwie narodowym, twierdzi Keane. Wchodzimy w erę demokracji postparlamentarnej i postpaństwowej – demokracji hybrydowej. Już teraz często nie opozycja, lecz organizacje pozarządowe ujawniają przekręty. W Niemczech ruchy obywatelskie, pacyfistyczne i antyatombowe, ruchy feministyczne i ekologiczne nie tylko utworowały drogę partii Zielonych do parlamentów, ale także spowodowały zasadniczą zmianę nastrojów społecznych. Innym przykładem takiego pospolitego ruszenia przeciwko skostniałym strukturom jest polska Solidarność. Australijczyk wie, o czym mówi. W latach 80. pisywał do solidarnościowych periodyków. Jest też autorem biografii Vaclava Havla. Solidarność, co prawda, powstała w systemie monopartyjnej „demokracji ludowej”. Ale to właśnie solidarycą posługuje się dziś na Węgrzech opozycja antyorbánowska.